

OSTATNIA
DESKA
RATUNKU

SUKCES PANI DOROTY

horoskop

KONKURS
NA DŁUGIE
WIECZORY

SCENY
MIŁOŚNE

PL ISSN 0165-7667 Nr indeksu 36 650

madocdrze

ZIELONA GÓRA 14 XII — 27 XII 1986 R.
ROK XXX NR 25 [630] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Zielonogórska Dorota Słucka, uczennica prof. Stanisława Hajzera, zdobyła jedno z wyróżnień na IX Międzynarodowym Festiwalu Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu (Redakcja z Festiwalu c.d. na str. 5).

Fot.: JERZY UNIERZYŃSKI

STANISŁAW

Tomasz Florkowski

1.

Stanisława Leszczyńskiego ze Swidnicy koło Zielonej Góry poznałem dawno, przeszło 10 lat temu. Zwykle po pracy, gdy miałem czas, jeździłem do Swidnicy i wykonywałem w jego warsztacie różne rzeczy z drewna. Były to półki, lawy, stół, lampy i inne przedmioty. Budowałem dom i Stanisław mi pomagał. Nie żądał ode mnie pieniędzy. Gdybym miał mu się wypłacić, właściwie byłoby to niemożliwe... Nasze spotkanie przerodziło się w zażyłość. Uległem też podziwowi dla przedmiotów, które wychodziły spod jego rąk... Teraz tak rzadko zachwycamy się tymi, co ktoś zrobił. Krepujemy się do tego przyznać. Często zastanawiałem się czy dziś, kiedy łatwo ulegamy, pobbazaniu dla bylejakości — można osiągnąć zna czenie i uznanie bez oszukiwania — Gdyby przykładem byli rzemieślnicy podobni do Stanisława, runęłoby wszy stkie Wieże Babel Narzekania... Nie-róbstwo czy wygodnictwo nie mają z nim nic wspólnego. On lubi (inaczej żyć. I jest swej sytuacji świadomy, nie zależnie od otaczającego cwaniactwa, chociaż niedawno wyznał, że długo nie pociągłemu bez solidności.

2.

Stanisław najbardziej upodobał sobie drewno. Nie lubi przecierać starych, rozbiórkowych belek. Powiada: — Zwykle trafi się w jakiejś szparce zia renko piasku, kamyczek, albo co gor-sze — ukryty gwóźdź, a nie ma nic przy krzejszego dla pily...

Znajomość między nami zaczęła się od naprawy siekierej. Niezwłocznie za brał się do pracy. Sprawnie wyciął z akacji profil rękojeści i następnie do-kładnie wygładził ją nożem i szkiem. Potem całość wkręcił w imadło. Po krótkim skupieniu wykonał jeden, je-dyny ruch... Tak uderzył w klin głow-icy, że od tamtej pory „styl” i siekier-ka tworzą nieruchomą całość. Ujmując i obracając obręcz oprawione narzę-dzie — podszedł do mnie mówiąc:

— Oto jest styl! A to kosztuje wie-le, albo — nie...

Wielokrotnie wspominałem ów jed-ny ruch młota w chwili osadzania „stylu”. I wtedy wyobrażałem sobie, że właśnie w ten, a nie inny sposób mu-siał uderzyć w figurę Fauna, młody Je-szcze Michał Anioł Buonarroti... Do-ł wahanie u kałecia Medycejskiego i uniesiony dumą, mistrzowskim ciosem dłuta wydobyl z kamienia — uśmiech; słynny „Uśmiech Fauna”. Podobny ruch, jeden ruch Stanisława dowo-dził także opanowania materiału i zię-bienia tajemników rzemiosła. Było oczy-wiste, że odróżnia się od pospolitego „rzemiechy”. Temto popołudnie ciągle konfrontuję z tym, co dostrzegam do-okoła — z brakiem poczucia dumy z pracy.

3.

Warsztat Stanisława jest szczególny. Mało w nim rzeczy kupionych. Pila też

Ciąg dalszy na str. 4

Twórcy polskiej myśli zachodniej

Zygmunt Wojciechowski

Stanisław Ciesielski

Urodził się on w 1900 r. jako pierw-sze z pięciorga dzieci Konstantego Woj-ciechowskiego, podówczas nauczycie-la gimnazjalnego w Stryju, a już wkrót-ce profesora Uniwersytetu Lwowskie-go. Właśnie we Lwowie kształtowała się osobowość młodego Zygmunta, tam dojrzał intelektualnie, a w pewnym stopniu i politycznie. Tam też rozpo-częła się jego kariera naukowa. W 1924 r. uzyskał bowiem na tamtejszym uni-wersytecie doktorat z dziedziny hi-storii, a przemożny wpływ na jego po-glądy naukowe wywarł tej miary ucze-ni co Oswald Balzer, Jan Ptaśnik, czy Stanisław Zakrzewski. Nic zatem dziw-nego, że w takim środowisku dojrze-wający młody uczonec już pierwszymi swymi pracami zwrócił uwagę opinii historyków. Równocześnie krystalizowa-

ły się jego poglądy polityczne, na które szczególnie wpływ wywierały — jak sam później niejednokrotnie przyzna-wał — prace i działalność Romana Dmowskiego, szczególnie zaś jego książ-ka „Niemcy, Rosja i kwestia polska.” Związał się więc Wojciechowski z en-decją, stając się wkrótce jednym z bardziej znanych działaczy tej coraz aktywniejszego nurtu „młodych”. W dniu 4 maja 1924 r. na zebraniu Młodzieży Wszechpolskiej we Lwowie Wojciechowski wygłosił odczyt pt. „Przesunięcie historyczne Polski z Za-chodu na Wschód”, w którym po raz chyba pierwszy w sposób tak klarowny sformułował swój pogląd na kwestię zmian terytorialnych Polski i ich wpły-wu na byt narodowy i losy państwa. Dowodził, że w procesie historycznym

następowało cofanie się państwa polskie-go z jego pierwotnych ziem opanowa-nych za pierwszych Piastów i równo-cześnie obejmowanie nowych ziem na wschodzie. W obrębie tych ziem, które uważał za terytorialną podstawę pań-stwa, a które później — już w latach trzydziestych nazwie „ziemiemi macie-rzystymi” — lokował Pomorze Nadod-rzańskie, Ziemię Lubuską, Łużyce, Po-morze Gdanskie, Wielkopolskę, Śląsk, Mazowsze, Małopolskę i ziemię czer-wieńską.

W późniejszej swej rozprawie o roz-woju terytorialnym Prus, Wojciechowski jednoznacznie wskazał: „Przed oczyma historyka coraz wyraźniej rysuje się jako główny motyw przewodni dziejów Polski opuszczenie ziem nad Odrą, tak z punktu widzenia następstwa bezpośred-nich, jak i pośrednich faktów”.

W procesie odchodzenia z zachodnich rubieży państwa Bolesławów Chrobrego i Krzywoustego decydujące znacze-nie przypisywał fiasku pomorskich pla-nów Kazimierza Wielkiego. W nich

Ciąg dalszy na str. 5

Elżbieta Skorupska

Wigilia

Przy sytym drzewku
siadamy do wieczerzy
A obrus jest taki biały
że aż w izbie się nie mieści
nieskończona doskonałość
Moja matka zaczyna
„Hej Maluśki Maluśki”
Po świeżym śniegu
na pasterkę
pójdzie w tym roku pierwszy raz
mój syn
maluśki kiejby rękawiczka

Opinie i refleksje

Niebezpieczny krok

Czerwiec 1979 roku. Czy całego świata zwrócone wówczas były na Wiedeń, gdzie odbywało się pamiętne spotkanie ówczesnych przywódców: Związku Radzieckiego — Leonida Breżniewa i Stanów Zjednoczonych — Jimmy'ego Cartera. Zalana światłem płynącym z oryginalnych żyrandoli wspaniała sala wiedeńskiego Hoffburga, gdzie za stylowym stołem przykrytym piękną, cesarską jeszcze zapewne serwetą zasiadli szefowie obydwoj supermocarstw, aby złożyć swoje podpisy pod doniosłym dokumentem SALT II, ograniczającym pulę broni obu najpotężniejszych państw świata. Po podpisaniu w Moskwie — podczas wizyty R. Nixona w 1972 r. — układu SALT I, w sercu ludzkości wstąpiła nowa nadzieja.

Pamiętam, jak siedząc przed telewizorem obserwowałem ze wzruszeniem, zaskakującą jak na obczyźnie zachodnich polityków scenę, gdy w trakcie wymiany podpisanych dokumentów, Carter nieoczekiwanie objął i uściśnął Breżniewa, jakby symbolizując tym nową epokę w dziejach stosunków między Waszyngtonem a Moskwą — stolicami wyznaczającymi bieg dziejów współczesności. Przywódcą radziecką z widoczną emfazą odwrócił ten uścisk i serce setek milionów ludzi napęliło się wiarą w lepszą, pokojową przyszłość naszej planety. A tymczasem nie minęło nie tak wiele lat, na fotelu prezydenckim zasiadł Reagan i ze stolicy USA powiały chłodne wiatry, jak gdyby nowej, „zimnej wojny”.

Ostatnim tego przejawem jest naruszenie przez Stany Zjednoczone wspomnianego układu SALT II. Otóż do bazy wojsk lotniczych USA w stanie Teksas skierowany został 131 bombowiec typu B-52, przystosowany do przenoszenia pocisków manewrujących Cruise, wyposażonych w głowice nuklearne. Wraz z przekazaniem tego samolotu do służby, USA formalnie przekroczyła limit 1320 bombowców i rakiet wielogłowicowych — ustalony jako definitywny w układzie SALT II. Układ ten przewiduje, że żadna ze stron nie może mieć więcej niż 2250 strategicznych środków przenoszenia broni nuklearnej, t.j. rakiet balistycznych bazujących na ładzie, wyrzeliwanych z okrętów podwodnych (Waszyngton zaś ostatnio i w tej dziedzinie naruszył wspomniany układ uzupełniając swe siły morskie o okręt atomowy typu „Posejdon”). Te same ograniczenia dotyczą ciężkich bombowców zdolnych do przenoszenia bomb nuklearnych lub pocisków samosterujących wyposażonych w takie głowice.

Tego rodzaju nieodpowiedzialne decyzje rządu USA spotykały się z ostrą krytyką nawet w samym Kongresie USA. Demokratyczny senator A. Gore określił je jako „historyczny błąd”, dodając, że konsekwencje tego posunięcia mogą być w dłuższej perspektywie tak samo poważne, jak decyzja wysłania broni do Iranu. Również wielu sojuszników Waszyngtonu wyraziło swe niezadowolenie i protest. Negatywna reakcja państw niezwiązanych jest oczywiście jeszcze bardziej zdecydowana. Krok ten nastąpił bowiem w tym samym momencie, gdy podczas swej wizyty w Delhi Michail Gorbaczow przedstawił cały pakiet doniosłych inicjatyw pokojowych. Oświadczył on mianowicie, iż ZSRR gotów jest w każdej chwili rozpocząć z USA oraz z innymi państwami rozmowy na temat środków budowy zaufania w Azji i przylegających do niej akwenach Oceanu Indyjskiego i Spokojnego.

Do naruszenia przez USA układu SALT II ustosunkował się także z całą powagą podczas swego spotkania z dziennikarzami w Jablonie Wojciech Jaruzelski. Podkreślił on, że kroku tego nie można określić inaczej jak prowokacyjny. (I to w tym samym czasie, gdy ZSRR nie tylko ściśle przestrzega tego układu, ale już prawie półtora roku realizuje jednostronne moratorium na wybuchy jądrowe). Jeśli Waszyngton przypuszcza, kontynuował generał, że może sobie zapewnić przewagę wojskową nad Związkiem Radzieckim, to ulega niebezpiecznej iluzji i tylko wzmacnia przez to napięcie narodowe.

Hasło, pod którym obradowało Forum „Jablonia VII”: „Mamy jedną planę i musimy ją ocalić” — jest zawołaniem, które nigdy jeszcze nie miało tak aktualnego charakteru.

MICHAŁ HOROWICZ

STANOWISKO RADY LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

wobec „Programu rozwoju kultury w województwie zielonogórskim do roku 1990” oraz uchwał i wniosków III Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury.

Rada Lubuskiego Towarzystwa Kultury obradująca 8 listopada 1986 roku

— po zapoznaniu się z „programem rozwoju kultury w województwie zielonogórskim do roku 1990” oraz po wysłuchaniu informacji o przebiegu obrad i uchwałach III Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury jak i głosów w dyskusji członków Rady, stwierdza, że:

— „Program rozwoju kultury w województwie zielonogórskim do roku 1990” uwzględnia realne, niestety, ograniczone możliwości rozwoju. Rada z ubolewaniem stwierdza równocześnie, iż omówienie tego niezwykle ważnego tematu zostało w trakcie obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej ograniczone czasowo i merytorycznie. Niezależnie od wpływu tej ewentualnej dyskusji na sam kształt programu — dyskusja

taka byłaby sprzyjającym czynnikiem dla szerszego zainteresowania problematyką kultury radnych i całego społeczeństwa.

Rada stwierdza, że takie traktowanie spraw kultury stanowi regres w stosunku do praktyki lat ubiegłych. Rada uznaje, że „Program” zawiera faktyczne, na miarę możliwości, najważniejsze tematy dotyczące problematyki kultury. Równocześnie jednak wobec braku konkretnego stanowiska w sprawie nowych inwestycji uważa, że przynajmniej budowa Państwowej Szkoły Muzycznej w Zielonej Górze winna znaleźć się nie tylko w „Programie” lecz i w wojewódzkim planie rozwoju społecznego-gospodarczego.

Rada postuluje, aby kierownictwo polityczno-administracyjne województwa z całą mocą podjęło, poparło i zrealizowało od dawna zgłoszony postulat powołania w Zielonej Górze oddziału któregoś z istniejących już w kraju wydawnictw. Według społecznego rozważania członków Rady oraz opinii środowisk twórczych najbliższą wydaje się realizacja w Zielonej Górze filii Wydawnictwa Literackiego.

Opierając się na doświadczeniach ubiegłych lat, Rada wyraża nieuzasadnioną może obawę, aby ten program rozwoju kultury, bardzo przecież skromny, nie został w trakcie jego realizacji, pod rozmaitymi pozorami ograniczony. Należy dążyć do wszelkich starań, aby został on w pełni zrealizowany.

Szczególnie dotyczy to remontów kapitałowych tych obiektów kultury, przy których prace zostały rozpoczęte i przerwane z powodu braku środków.

Rada uważa, że „Program” choć szeroko mówi o zadaniach i roli społecznej

go ruchu kulturalnego w tym i regionalnym, nie wspomina o jego wsparciu i pomocy ze strony administracji szczebla wojewódzkiego i terenowego.

Rada Lubuskiego Towarzystwa Kultury w trosce o rozwój kultury zwraca się do wszystkich sił społecznych województwa, regionalnych towarzystw kultury o aktywny udział w realizacji wojewódzkiego i terenowych programów rozwoju kultury.

III Kongres Regionalnych Towarzystw Kultury, nawiązując do Programu i Uchwał X Zjazdu PZPR potwierdził, że ruch regionalny wzmacnia system demokratyzacji kultury. Chroniąc tradycyjne wartości, kształtuje aktywne postawy, sprzyja wyrównywaniu szans dostępu do kultury. Nie może on zastępować państwowych placówek kultury, lecz wzmacniać i inspirować ich działania. Jako istotny element w całości kształcenia polityki kulturalnej i społecznej regionalny ruch kulturalny może i powinien liczyć na wsparcie zarówno wszystkich ogniw administracji państwowej jak i organizacji i stowarzyszeń społeczno-politycznych.

Rada apeluje do członków sfederowanych towarzystw o wyzwalanie chęci wspólnego działania wszystkich obywateli regionu, o podejmowanie istotnych zadań w swoich środowiskach, o dalszą aktywność i intensyfikację działalności w celu rozwiązywania problemów dnia dzisiejszego.

Ideą społecznego działania jest bowiem wychodzenie naprzeciw wszelkim inicjatywom zrodzonym z poczucia proesu demokratyzacji naszego kraju.

RADA LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Zaodra

Postęp

naukowo-techniczny

Rozwój postępu naukowo-technicznego oraz szybkie wykorzystanie w gospodarce narodowej osiągnięć w tym zakresie odgrywa pierwszoplanową rolę w strategii ekonomicznej NRD — stwierdza na swoich łamach czasopismo DIE WIRTSCHAFT. Świadcza o tym nakłady środków finansowych świadczonych na ten cel z budżetu państwa. W 1985 r. przeznaczono na rozwój nauki i techniki prawie 4,7 proc. dochodu narodowego, t.j. mniej więcej tyle, ile procentowo wydają na ten cel najbardziej uprzemysłowione kraje świata. W roku bieżącym wydatki na postęp naukowo-techniczny osiągną prawdopodobnie około 5 proc. globalnego dochodu narodowego państwa.

Szczegółowo prowadzona w NRD statystyka wskazuje na poprawę wielu wskaźników rozwoju gospodarczego w poszczególnych gałęziach przemysłu właśnie dzięki wykorzystaniu własnych osiągnięć nauki i techniki. W latach 1981-85 zastosowanie w większym zakresie postępu naukowo-technicznego oraz poprawa organizacji produkcji umożliwiły zaoszczędzenie w całej gospodarce 3,5 miliarda godzin pracy. W 1985 r. wprowadzono do produkcji około 500 nowych wyrobów oraz technologii, dzięki czemu w roku bieżącym można będzie wyprodukować towary wartości ponad 18 mld marek, przy osiągnięciu wyższej wydajności pracy i podniesieniu jakości produkcji.

W latach 1981-85 zgłoszono do Urzędu Patentowego znacznie więcej wynalazków i pomysłów racjonalizatorskich, aniżeli w poprzednie 5 lat. Systema tymczasem wzrasta w całej gospodarce liczba robotów przemysłowych. Jedynie w 1985 r. zainstalowano 13800 robotów, a ogólna ich ilość zwiększyła się w sumie do 57 tysięcy. W planie na 1986 r. z budżetu państwa oraz z funduszy przedsiębiorstw i kombinatów przeznaczono na ten cel około 12 mld marek. Postęp naukowo-techniczny jest również podstawą stałego rozszerzania asortymentu produkcji przemysłowej. Jednocześnie nastąpiło znaczne obniżenie kosztów produkcji w przeliczeniu na jednostkę dochodu narodowego.

Komputery

w wydawnictwach

W ramach szybkiego rozwoju procesu komputeryzacji rozmaitych dziedzin życia w NRD zawarte zostało ostatnio porozumienie pomiędzy Zarządzeniem Głównym Związku Zawodowego Pracowników Poligrafii i Przemysłu Papierniczego a Ministerstwem Kultury NRD. Przewiduje ono realizację szeregu zadań zmierzających do poprawy warunków pracy i sytuacji bytowej 11000 pracowników zatrudnionych w wydawnictwach oraz w księgarstwie. Zaplanowano podnieść kwalifikacji zawodowych tektorów, redaktorów zatrudnionych w wydawnictwach i księgarstwie. M.in. pracownicy ci będą przygotowywani do podjęcia

obsługi nowoczesnej techniki elektronicznej. Przewiduje się, że w najbliższych latach udział komputerów w procesie przygotowania tekstów do druku, doskonalenia sztuki edytorskiej, planowania, rachunkowości itp. będzie z roku na rok wzrastał. Już wkrótce technika elektroniczna wkróczy do wielkich drukarni w Gotha i Lipsku. Nowa technika nie tylko podniesie wydajność pracy w przemyśle poligraficznym i księgarskim, lecz przyczyni się również do stworzenia lepszych warunków pracy.

(alfa)

Wyroby przemysłu

chemicznego

w 100 krajach świata

Przemysł chemiczny NRD eksportuje wyroby do prawie 100 krajów świata. Globalna wartość eksportu zwiększa się w ostatnich dziesięciu latach średnio o 12 proc w skali roku. 320 000 osób zatrudnionych w tej gałęzi przemysłu wytwarza ok. 20 proc. produkcji towarowej całego przemysłu NRD.

Przyczyn tych niezmiennie pozytywnych procesów zachodzących w przemyśle chemicznym NRD dopatruje się w konsekwentnej realizacji odpowiednich uchwał XI Zjazdu NSPJ, które między innymi zalecają daleko idące uszczelnienie finalnych wyrobów przemysłowych. „Neues Deutschland” pisała w związku z tym: „Jeśli w roku 1984 w przemyśle naszego kraju 100 marek układowo w postaci surowców i materiałów dawało produkcję netto w wysokości 29 marek, to w roku 1985 produkcja ta wyniosła już 31,8 marki. To pożytkowe zjawisko ma również miejsce w roku bieżącym”.

Podobna uwaga odnosi się do tworzenia nowych lub instalowania całkowicie zmodyfikowanych mocy produkcyjnych. Dziennik ilustruje to na przykładzie Kombinatu „Leuna” w okręgu Halle, który jest największym przedsięwzięciem przemysłu chemicznego w NRD. Zainstalowany tam kompleks produkcyjny, który zalicza się do najbardziej nowoczesnych systemów tego rodzaju w świecie, umożliwił uzyskiwanie z tej samej ilości ropy naftowej większej masy produktów w postaci paliwa diesla i innych paliw, a równocześnie gwarantuje — po raz pierwszy w NRD — możliwość pełnego przetworzenia na pożyteczne składniki powstających w procesie produkcyjnym odpadów. Cały proces jest nadzorowany i sterowany przez zautomatyzowany system wspomagany przez mikrokomputer.

(x)

Studenci zagraniczni

Od 35 lat zdobywają wiedzę w NRD studenci zagraniczni. Liczba zagranicznych absolwentów, którzy w ciągu tego okresu opuścili wyższe uczelnie NRD sięgnęła 32 tys., z czego 15 tys. stanowią obywatele krajów rozwijających się. Jedną z zasad systemu kształcenia studentów zagranicznych, którą podkreślano w trakcie obchodów jubileuszu, jest pomoc dla krajów walczących o wyzwolenie polityczne i społeczne. Przykładem szczególnie dobitnym są studenci wietnamscy, których ponad 4000 ukończyło wyższe uczelnie w NRD, w najgorętszym okresie wojny w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oraz w latach ostatnich. Do tej samej grupy należą również tysiące adeptów wiedzy z takich krajów jak Afganistan, Angola, Etiopia, Mozambik,

Nikaragua, Syria, a także przedstawiciele takich ruchów narodowo-wyzwoleńczych jak Afrykański Kongres Narodowy, SWAPO i Organizacja Wyzwolenia Palestyny. Środki na ich kształcenie pochodzą również ze społecznych funduszy solidarnościowych. W rozpoczynającym się roku akademickim z funduszy tych przeznaczony na te cele 70 mln. marek.

W bieżącym roku akademickim na różnego rodzaju formach studiów magisterskich, doktoranckich i inżynierskich zdobywać będzie wiedzę 2 tys. studentów zagranicznych. Poszczególne społeczności narodowościowe zorganizowane są w 54 grupach narodowych, których celem jest pomoc w adaptacji, nauce oraz pielęgnowanie kultury i tradycji. W ubiegłym roku powołano „Klub Herdera”, skupiający byłych absolwentów z różnych krajów i mający służyć podtrzymaniu więzi z NRD oraz wzajemnych kontaktów. W czerwcu tego roku rozpoczęło wydawanie kwartalnika „Dialog”, również przeznaczony dla zagranicznych absolwentów uczelni NRD.

(x)

Załaba

Genscher

za technologiczną

niezależnością Europy

Szef bońskiej dyplomacji Hans-Dietrich Genscher opowiedział się ostatnio za technologiczną niezależnością Europy od USA i Japonii, i zaferował państwom bloku wschodniego współpracę w gospodarce i technologii. Podczas otwarcia międzynarodowych targów w Saarbrücken określił tę ofertę jako „środek polityki budowy zaufania”. Minister skrytykował jako „nie przynoszące pożytku i niebezpieczne spekulacje”, wyobrażenia, że „można technologicznie rzucić Związek Radziecki na kolana i równocześnie przez stawianie na przewagę militarną, zaizolować się na śmierć”. Genscher opowiedział się za rozwojem pokojowych badań kosmicznych, popierając francuską ofertę partycypowania w programie „Hermes”, dotyczącym budowy załogowego promu kosmicznego i oświadczył, że loty załogowe służące badaniom pokojowym są dla Europy Zachodniej konieczne. Równocześnie, w wywiadzie radiowym, Genscher ustosunkował się pozytywnie do najnowszych propozycji rozbrojenia wchodzącego w życie. Jego zdaniem, Gorbaczow uwzględnił również zastrzeżenie rządu federalnego z powodu „przewagi ZSRR w dziedzinie broni konwencjonalnej”. Dlatego warto jak najstawniej zbadać i przedyskutować propozycje Gorbaczowa.

(x)

Wątpliwości w sprawie projektu „Hermes”

Komisja budżetowa Bundestagu zablokowała 23,3 mln marek przeznaczonych na udział RFN w fazie przygotowawczej francuskiego projektu kosmicznego „Hermes” w 1987 r. Jak poinformował ekspert frakcji CDU/CSU ds. badań Dietrich Austermann, uznano, że przed-



Mirosław Sopalak (1934 – 1986)

Nagle w wieku 52 lat 24 listopada 1986 r. zmarł Mirosław Sopalak, wicewojewoda gorzowski. Swoją działalność społeczną rozpoczął w organizacjach młodzieżowych, pełniąc w nich wiele funkcji. W 1957 r. został nauczycielem, a następnie zastępcą dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Zaganiu. W 1962 r. przeszedł do pracy partyjnej — był sekretarzem komitetów powiatowych PZPR w Zaganiu i Ślubicach oraz sekretarzem KP PZPR we Wschowie. W 1975 r. przeniósł się do Gorzowa i rozpoczął pracę w nowo powstałym województwie jako sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a następnie kierownik wydziału w KW. Od 1985 r. pełnił funkcję wicewojewody gorzowskiego. Jednocześnie był wiceprzewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR w Gorzowie.

Mirosław Sopalak należał do czołowych działaczy ruchu regionalnego. Wszędzie, gdzie pracował zawodowo, zwracał szczególną uwagę na wychowanie młodzieży, jej wszechstronny rozwój, umiowanie regionu. W Gorzowie od samego początku związał się z Gorzowskim Towarzystwem Kultury, wchodząc w skład jego władz, a od kilku lat, pełnił funkcję prezesa GTK. Pod jego kierownictwem GTK skupiło wokół siebie wielu działaczy, którym droga jest ziemia nad Wartą, Notecią i Odrą. W województwie powstały nowe muzea, biblioteki, domy i kluby kultury. Umocniły się środowiska twórcze i instytucje kulturalne. Zrodziło się wiele inicjatyw społecznych, którym patronuje społeczny ruch kulturalny.

Za swoją działalność społeczną i zawodową Mirosław Sopalak otrzymał wiele odznaczeń i nagród, m.in. Krzyż Oficerski i Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, odznaki honorowe „Za zasługi dla województwa gorzowskiego” i „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”.

Region lubuski stracił wybitnego działacza i organizatora życia społecznego, Mirosława Sopalak — szczerzy, prostolinijny, życzliwy, serdeczny — pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

stawione przez ministra ds. badań Heinza Riesenhubera (CDU) uzasadnienie udziału RFN w projekcie jest niewystarczające. Komisja pragnie nie dopuścić do pochopnego zaangażowania się RFN we francuski projekt, gdy koszty tego zaangażowania nie dają się przewidzieć. Deputowani oczekują analizy przypuszczalnych kosztów budowy promu kosmicznego. Bonn zdecydowało się wcześniej na 30 procentowy udział w fazie przygotowawczej projektu. Odpowiednia kwota w wysokości 32 mln. marek została zarezerwowana w budżecie ministerstwa na badania w 1986 i 1987 r. Komisja wychodzi z założenia, że „Hermes” pochłonie ogółem do 4,2 mld marek, z czego 30 proc. przypadnie na RFN. Kwota 23,3 mln marek na 1987 r. dotyczy wstępnego projektu, którego łączny koszt wyniesie 100 mln. marek. (x)

Mniejszy napływ azylantów

Nowe przepisy tranzytowe, wprowadzone przez władze NRD, zmniejszyły w zasadniczy sposób napływ azylantów do Berlina Zachodniego. Jak stwierdził za chodnioberski senator ds. wewnętrznych Wilhelm Kewenig (CDU), w ciągu 22 dni października br. przybyło do miasta jedynie 75 osób, które zwróciły się o azyl. Jest to ułamek liczby z poprzednich miesięcy. W roku ubiegłym wystąpiło w Berlinie Zachodnim z 22.908 wnioskami o azyl. W 1986 r. zarejestrowano już 31.995 takich wniosków. W związku z kierowaniem kandydatów do azylu do różnych krajów związkowych Republiki Federalnej, liczba takich osób przebywających w Berlinie znacznie się zmniejszyła. Podczas, gdy momentami wynosiła do 15.000, obecnie — jedynie 8.000. (x)

— Od 30 lat zajmuje się Pan skargami zgłaszanymi przez Czytelników. Jak sięgnę pamięcią, zawsze należał Pan do najbardziej zapracowanych ludzi w redakcji. Ile osób przewinęło się pod „ścianą płaczu” przy pańskim biurku?

— Skargi to 80 proc. wszystkich moich kontaktów z Czytelnikami — wzyt w redakcji, listów, rozmów telefonicznych itp. Przez ten czas uzbierało się 120 tys. spraw o takim charakterze.

— Jakże kłopoty dręczą ludzi najczęściej?

— Przede wszystkim sprawy mieszkaniowe. Mam tu na myśli zarówno kłopoty z otrzymywaniem mieszkań, jak i ich funkcjonowaniem, czyli całą sferę komunalną.

Druga duża grupa pretensji wiąże się z rynkiem, rynkiem obecnie częściowo równowagowym — jak powiadają ekonomiści — ale ciągle rozrzuconym, nerwowym, reagującym różnymi objawami wykupu artykułów, których rzekomo ma zabraknąć.

Wreszcie trzeci blok skarg stanowią jak najszerzej pojęte usługi, zarówno te materialne, jak np. naprawa sprzętu, aż po świadczenia jak oświata, komunikacja, łączność, służba zdrowia.

— Czy można wyodrębnić okresy, w których skarg było zdecydowanie mniej lub zdecydowanie więcej. Od czego to zależy?

— Przez te 30 lat byłem świadkiem zmieniających się potrzeb mieszkańców regionu, zanikania jednych, powstawania innych.

Przecież kiedyś nie było kłopotów z naprawą telewizora, bądź samochodu. Ten pierwszy wtedy jeszcze w ogóle nie istniał, przynajmniej w naszej rzeczywistości, a ten drugi należał do dóbr bardzo rzadkich. Na pewno nie było kiedyś takich kłopotów mieszkaniowych jak dziś, łatwiej było o miejsce w przed szkół, trudniej zaś — co dziś wydaje się dziwne — o miejsce w szkole ponadpodstawowej.

Dawniej często konstruowano plany społeczno-gospodarcze regionów jako sumę zarejestrowanych społecznych potrzeb. Starano się uwzględnić w tych programach wszystko, lub większość tego, co ludzie sobie życzyli i co wypowiadali na różnych spotkaniach. Ale program robiono bez bilansowania go z materialnymi możliwościami. Kiedy okazało się, że realizacja nie spełni społecznych oczekiwań, wówczas mieliśmy do czynienia ze zwiększoną jeszcze falą pretensji.

Brakowało realizmu. Realizm w traktowaniu potrzeb jest niezwykle ważny.

Mówię o tym w kontekście odwagi. Wymóg odwagi adresowałbym również do naszego środowiska zawodowego. W nim też pokutuje niekiedy stereotyp: biedny, skrzywdzony człowiek i forsujący jego sprawę dziennikarz.

— Ale wielu skrzywdzonych, właśnie w prasie znajduje oparcie. Czy możemy ich tego pozbawiać?

— To prawda, że prasa ma ustawowo zagwarantowaną możliwość zajmowania się każdą sprawą, że pełni funkcje interwencyjne i kontrolne zapisane ostatnio w ustawie „Prawo Prasowe”. Jednakże nie musi do końca zajmować się każdą zgłoszoną kwestią, nie musi wyręczać instytucji do tego powołanych. W ogóle jestem przeciwny funkcjonowaniu w redakcji biura skarg i wniosków wyręczającego każdego i wszystkich.

Oczywiście, odejście od takiej koncepcji też wymaga odwagi powiedzenia Czytelnikowi, żeby częściej korzystał ze sklepowej książki skarg i wniosków, by w swoich komunalnych kłopotach częściej odwiedzał administrację domów, częściej korzystał ze wszystkich swoich obywatelskich uprawnień, które w ostatnich latach szczególnie eksponuje się w różnego rodzaju aktach prawnych, no i w praktyce życia społecznego.

Prasa natomiast powinna stwarzać czytelnikowi możliwości poszerzania jego osobistych kontaktów z władzą. Te formy kontaktów staramy się w praktyce od kilku lat stosować, chociażby

poprzez czytelnicze spotkania przy redakcyjnym telefonie. Myślę, że im więcej tych kontaktów, tym lepiej dla obu stron. W konsekwencji mniej skarg.

— Mimo to skargi ciągle są. Dlaczego? Dlaczego ludzie od nowa skargą się na różne kłopoty, skoro władze ciągle starają się by było lepiej, zmieniają przepisy, stosują sankcje wobec ludzi i ogień administracji nie wywołujących się z obowiązków wobec obywatela?

OSTATNIA DESKA RATUNKU?

Rozmowa z red. Janem Kolasieńskim
— kierownikiem Działu Łączności z Czytelnikami
„Gazety Lubuskiej”

— W zasadzie wszystkie napływające przez te lata do redakcji skargi potwierdzają znane prawo ekonomiczne, które mówi, że potrzeby ludzkie nigdy nie mogą być raz na zawsze zaspokojone. Gdy się je zaspokoja na pewnym etapie, odnawiają się w coraz większej ilości i w coraz bardziej wyrafinowanym kształcie. Gdybym miał sformułować stałą, ciągle utrzymującą się potrzebę, brzmiałaby ona: lepiej żyć.

Nasze wyobrażenia, co to jest lepiej, rosną wraz z wykształceniem społeczeństwa, z jego awansem cywilizacyjnym, kulturalnym, dążeniem do lepszego życia.

Oczywiście podstawą zaspokojenia tych potrzeb są uwarunkowania materialne, bo jeśli więcej wytworzymy, będziemy mieli więcej do podziału i znikną dokuczliwe zjawiska. Ta oczywista prawda nie zawsze jest dostrzegana. Niemal codziennie jesteśmy świadkami mało wydajnej, źle zorganizowanej, byle jak wykonywanej pracy. I to też widać w listach. Ale po wzroście życia i warunków bytu chętnie sięgamy do społeczeństw o znacznie wyższych niż u nas rygorach pracy. Czyli jak się powinno żyć, to my wiemy, ale czy się to osiąga, tego raczej wiedzieć nie chcemy.

— Przez wiele lat pracy dziennikarskiej sądziłem, że ludzie tu przychodzący traktują gazetę jako ostatnią deskę ratunku. Czyżby się mylił?

— Są takie przypadki, ale ponieważ redakcja nie jest urzędem, nie może naruszyć wydanych już danej sprawie decyzji, wyroków sądowych, itp. Najwyżej możemy uzbudzić naszego interesanta w jakiejś nowej metody postępowania, wskazać mu jeszcze niewykorzystane szanse odwołania się, zaskarżenia, opracowania wniosku o rewizję nadzwyczajną itp. Podejmujemy interwencje i tam, gdzie sprawa na skutek opieszałości urzędu czy instytucji uległa zahamowaniu, bądź przybiera niekorzystny dla czytelnika obrót. Jednak mylnie byłoby generalne przekonanie, jakoby jedynie redakcja była w stanie i mogła wyręczyć w załatwieniu od początku do końca jakiegokolwiek sprawy.

W latach siedemdziesiątych notowaliśmy w redakcyjnych rejestrach napływ przeciętnie 6 tysięcy skarg rocznie. W ostatnim pięcioleciu jest ich o połowę mniej. Myślę, że nie jest to zasługą naszej działalności interwencyjnej, cierpliwego wyjaśniania różnych spraw, przedkładania kłopotów czytelników różnym urzędem i instytucjom, ale jest to po prostu funkcja zmian społeczno-politycznych w kraju. Stworzono możliwości zaskarżania do sądu, ostatecznych decyzji administracyjnych. Daw-

niej kończyło się na drugiej instancji, postępowanie skargowe niczego nie przyniosło i w rezultacie trzeba było tak robić, jak orzekł urząd. Obecnie otwarto szansę zaskarżania decyzji do sądu administracyjnego. Mam jego ośrodek zamiejscowy w Poznaniu, na teren obu naszych województw i wiele ostatecznych decyzji szczebla wojewódzkiego przez ten sąd jest rewidowanych na wniosek obywateli. Są przypadki uchyleń, przegrywania wojewódzkiej administracji w sporze z obywatelem.

Również ogromny blok spraw pracowniczych uregulowano od nowa ustawami o przedsiębiorstwie państwowym, o samorządzie załogi, o związkach zawodowych. Zmieniono bieg wielu spraw w zakładach pracy. Także skurczył się kompleks spraw pracowniczych. Raczej notujemy pytania, prośby o informację, o poradę prawną, ale nie są to typowe skargi.

Wreszcie udoskonalono sądownictwo pracy, bo przecież rozpatrywanie pracowniczych sporów przyjęło wyspecjalizowane sądownictwo. Znowelizowano prawo spółdzielcze. Jest nowa ustawa o radach narodowych i samorządzie terytorialnym. Stworzono tyle nowych, bądź udoskonalono już istniejące instytucje prawne, że są większe niż poprzednio szanse skutecznego dochodzenia swoich racji przez każdego naszego potencjalnego interesanta. Tylko to wymaga chęci skorzystania z tych instytucji.

Półowa dorosłych mieszkańców Zielonej Góry to członkowie spółdzielni mieszkaniowej, od nich ma zależeć praca spółdzielczej administracji. Mało tego, ci członkowie mają wobec swojej administracji ustawowe uprawnienia zapisane w prawie spółdzielczym. Tymczasem na członkowskich zebraniach frekwencja niska, sale świecą pustkami, ale za to ponad 300 skarg komunalnych z Zielonej Góry trafia rocznie do naszej redakcji. Zażalenia na ekspedientki wiejskich sklepów też przychodzą tutaj.

A kto je pisze? Często autentyczni członkowie gminnych spółdzielni, nawet członkowie komitetów sklepowych, które są władzą dla personelu.

Ba, spotkałem się nawet z przypadkiem, że o redakcyjną interwencję zabiegali radni, którym ustawa gwarantuje prawo interpelacji na sesji i nakłada obowiązek natychmiastowego ustosunkowania się w wysokiej rangi urzędnika do tejże interpelacji, czego radnemu nie zapewni żadna gazeta. Ciągłe aktualne jest pytanie, kiedy nauczy się korzystać z władzy, którą nam jako obywatelom przydzielił się w rozmaitych uregulowaniach.

— Mówi Pan o różnych możliwościach dochodzenia swych racji poza redakcją. A jednak sam Pan załatwił tysiące ważnych ludzkich spraw. Drobnych także, ale dla czytelników najważniejszych. Jak jest Pańskie samopoczucie po 30-tu latach stykania się z poczuciem krzywdy? Odczuwa Pan satysfakcję czy też rozgoryczenie?

— Poczucie krzywdy jest pojęciem względnym. Często ta krzywda jest zawiniona przez samych zainteresowanych,

LIST WOJCIECHA ŻUKROWSKIEGO

do zielonogórskiego
oddziału ZLP

Kolego Prezesie! Szanowni Koledzy!

Nagromadzenie prac sejmowych i wyjazdy zagraniczne, jakich niestety nie mogę złożyć na barki łowarzyszy, uniemożliwiły mi uczestniczenie w Waszym święcie, jakim bliskim memu sercu: jubileusz 25-lecia!

Tylko człowiek bardzo młody widzi w tej dacie wiek równy; ja niestety pamiętam, w jakich warunkach tu na kresach zachodnich zaczęliśmy przeszczerzać rodzimej kulturze z Lwowa i Poznania. Łatwiej czasem było o wile niż o coś do włożenia do garnka, łatwiej było o pracę poza marzeniami i upragnionym zawodem, niż o twórczość.

Jakże powoli przychodziło u miejscowej administracji zrozumienie dla odmienności pisarza, malarza, muzyka i aktora. Każdy był rad go użytkować, ale nie widział potrzeby stwarzania mu innych warunków niż dla szeregowego osadnika. Nie pojmował, że w książce nie tylko zostanie zapisany bieg owego czasu, ale ostra jego ocena,

często chłoscująca. Każdy żądał pochwały i oczekiwał pomnika.

Moł Drodzy Przyjaciele, wytrwaliście. Mnie ścigała Warszawa. We Wrocławiu mogłem się uczyć, pracować, ale nie mogłem wydawać książek. Trzeba było wiele sił charakteru, żeby tu trwać, wytrzymać zmienne nastroje, despotyzm administracji, a czasem i jawną głupotę. Tym większa Wasza zasługa i dzisiejsza chwala.

Macie swój Oddział, okrzepiliście, macie okazały dorobek. Nawet ci, co Was chcieli sobie podporządkować, mieć na usługi, nauczyli się, że Was trzeba szanować, że z Was mi trzeba się liczyć. Za polskie słowo, za wierny obraz lołów cząstki narodu, który się tu osiedlił, należy Wam się wielkie uznanie i prawdziwa wdzięczność. Książki Wasze za Was są poleceniem.

Pozwólcie, że w imieniu Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich i własnym, z całego — dobrze Was rozumiem — serca, składam Wam najlepsze życzenia: zdrowia, siły do niewdzięcznej pracy, niemal kamieniarskiej, jaką jest pasowanie słowa do słowa, by wypowiedziały złożony kształt naszych czasów i potrafiły utrwalić to, co w nich wielkie, bo to jednak — mimo dokuczliwych dni — jest, naprawdę jest.

Życzę Wam nowych, dobrych książek. Życzę Wam bodaj paru chwil spokojnej radości, jaką kryje poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Wasz

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Warszawa, listopad 1986



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

przez ich niedbalstwo, przeświadczenie: jakoś to będzie, przez brak realizmu w ocenie możliwości, przez brak cywilnej odwagi. Trudno jest wyłowić ludzi, którym faktycznie powinno się pomóc, dla których prasa jest faktycznie ostatnią deską ratunku. Bardzo często pomocy wymaga nie ten, kto głośno krzywo, lecz ten, który bardzo niewiele mówi.

Ciągle obcowanie ze skargami może wyrobić pogląd o czarnym kolorze naszej rzeczywistości. Jakoś ustrzegłem się od widzenia wszystkiego na czarno. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem nieczuły, że się uodporniłem, że lekceważę sygnały czytelnicze. Przeciwnie, wydaje mi się, że u nas nie ginie, że na każdy sygnał reagujemy. Mam satysfakcję, że wielu ludzi, mimo tych wszystkich uwarunkowań udało mi się pomóc. Mam również satysfakcję autorską, współautorską, chociaż sam rzadko piszę. Zazwyczaj piszę interwencyjne pisma, a ich się nie drukuje. A satysfakcja płynie stąd, że dostarczyłem zespołowi autorskiemu wielu interesujących tematów. Pani również korzystała z listów przy pisaniu swoich artykułów i reportaży. Fakt, że gazeta trzyma się blisko życia, też wpływa z naszej pracy, w Dziale Łączności z Czytelnikami.

— W środowisku dziennikarskim uchodzi Pan za „chodzący paragraf” w dobrym znaczeniu tego słowa. Podobno zna Pan każdy przepis. Czy rzeczywiście na wszystko można znaleźć paragraf?

— Z tym „chodzącym paragrafem”, to przesada. Uważam, że dziennikarz pra-

cujący w takim jak ja dziale, powinien wiedzieć do kogo, gdzie, z czym może się zwrócić i na tym polega moja znajomość prawa.

Czy można znaleźć na wszystko paragraf? Nie życzylbym sobie takiego stanu, gdzie wszystko w życiu byłoby uregulowane paragrafami. Przeciwnie chciałbym, żeby normy prawne mogły być zastępowane przez normy moralne, przez ugruntowany z pokolenia na pokolenie obyczaj, dobry obyczaj.

— Śni się Panu piękny sen. Jednak sądzę, że nadal istnieje ogromne zapotrzebowanie na wiedzę prawną, mimo że tak wiele pracuje się nad ogólnym oświeceniem społeczeństwa.

— Przez 30 lat obserwuję, że i to uległo ewolucji i są w tej dziedzinie zmiany na lepsze. W początkach swojej kariery tu, w redakcji, czytałem 20-stronicowe listy pisane bardzo nieporadnie, a całą kwestię można było wyłożyć na jednej stronie. Naszym korespondentem zabierało to mnóstwo czasu i papieru, gubili wątek, nawracali do nieistotnych szczegółów, trudno było wywnioskować, o co im chodzi. Dziś widzę w listach do redakcji ogromny oświatowy awans pokolenia, które tu mieszka. Wiele tych listów bez żadnych poprawek można drukować. Nie sądzę, ażeby w naszym społeczeństwie było aż tak dużo ludzi nie umiejących pokierować swymi krokami dla załatwienia życiowych spraw.

— Oby Pan miał rację. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: LUCYNA GRABOWSKA

mowa jest zlepkiem elementów wyszukanych na złomowisku. Dorobione są do niej osłony i silnik elektryczny. Po dołbie wygląda strug, który stoi tak, aby jeden napęd poruszał równocześnie niedużą piłę tarczową. W warsztacie są różne maszyny. Szlifierka, spawarka, tokarnia i stół stolarski, a na nim — pod ręką najpotrzebniejsze narzędzia. Szafa nie ma klucza, ani klódki, choć kryje bogactwo różnorodnych i cennych rzeczy. Zawsze w niej można znać

— Zapewne pójdziesz na boazerie, albo do kościoła, lub teatru — wtrąciłem.

— Niestety. Mam z nich wykonać skrzynię do wozu. Przyczepę... Bardzo mi się to nie spodobało. Zaskoczyło nawet. Zaproponowałem więc zleceniodawcy, aby odstąpił od zamiaru i użył na skrzynię desek sosnowych. Nie nie wsko-załem. Nie było warto strześcić sobie języka.

— Na ogół słuchają ciebie.

— Ba, zależy kto! Niekiedy zjawia się „mądry”. Syple od progu tytułami, albo stanowiskami. A co to ma do rzeczy?

STANISŁAW

leżać to, co akurat jest niezbędne w robocie. Panuje tam bowiem ład i myślenie, że gdyby ktoś Stanisławowi przestawił przedmioty — wyrzuciłby mu krzywdę. Mówię w ten sposób dlatego, że Stanisław kilka razy powtarzał:

— Poznałem swego czasu dobrego murarza. Był brzydki. Ukradł mi młotek. Zagroził zwolnieniem, jeśli to narzędzie nie powróci do jego rąk. Cała załoga w kombinacji szukała młotka. Wzajemnie się przekupywali, aby wywrzeć na złodzieju wrażenie, aby młotek oddał, czy podrzucił. Tak się stało. Było to jednak dawno, kiedy w robocie cenilo się — majstra.

Budynek warsztatu też jest zwyczajny. Wykonał go Stanisław własnoręcznie — łącznie z bramą i oknami. Najciekawszy jest trociniak. Beczka po ropie stanowi piec. Długa rura biegnie przez całe pomieszczenie i daje ciepło nawet wtedy, gdy na zewnątrz panują wielkie mrozy. Paliwa nie brakuje. Dostarcza go trak ustawiony w ogrodzie, za stodołą. Trak jest jak magnes. Ściąga z całej okolicy licznych zainteresowanych. Przeciera się na nim kłose na belki, deski, krawędziaki, sztachety i co się chce.

Obok warsztatu stoi parterowy dom. Gospodarz odpoczywa jednak przeważnie wieczorami, gdy ostatnie promienie słońca wpadają płasko w okna. Również wieczorem często ktoś przekracza próg i mówi:

— Czy można?

Wtedy Stanisław przerywa swoje zajęcia, a właściwie zawsze jest czymś zajęty — i słucha. Ma czas, aby z każdym rozmawiać. Nie zdarza się, aby wychodziło się od niego z pustymi rękami, lub bez życzliwej rady... No, może naciągające. Z początku przypuszczałem, że w tym jego zachowaniu jest poza. Ale szybko się przekonałem, że nie o pozory chodzi. Stanisław nie lubi przytulania. Prostolinijność i zarazem niezależność nie przesłania w nim żadnego szwindlu. Jest cechą jego osobowości. Świadczy też o nobilitacji, jaką osiągnął. Później pojąłem też, że jego postawa jest wynikiem dobrze rozumianych, ale wielkich ambicji. W przyległej Zielonej Górze wiośnie, na jej skraju mieszka rzemieślnik, który wie dla kogo robi. Wie, że odbiorcą jego wytworów jest człowiek tak jak i on wy-magający. Przywykłem więc, że w tej wiosce, w domku otoczonym polami, sadami, z widokiem na rozległą krainę — żyje ktoś, kto czuje łączność ze światem. Dom jego jest otwarty dla ludzi, psów i wszelkiego ptactwa. Otoczenie to ma on we krwi, w genach, w odczuwaniu i zatroskaniu nie tylko o własne dobro, ale w mądrym zatroskaniu o Kraj, o to, żeby nie w nim nie przepadało, a co przepada przez małość i chciwość... — Bylibyśmy Szwajcarią, rozumiesz — Szwajcarią, gdyby wszyscy mieli więcej ambicji — wtrącił w jakiejś dyskusji.

Nie pozwolił sobie na oddanie zleceniodawcy rzeczy nieukończonych, czy wątpliwie wykonanej. Nie poucza też tych, którzy nie mają racji: — Nie warto zmieniać upartych. Oni z góry wiedzą lepiej — powiedział mimochodem, kiedy staliśmy pewnego popołudnia przy traku. I jakby chciał uzasadnić swoją teorię, dodał:

— Popatrz na tę stertę desek. Jak uważasz, co to za drewno?

Nie wiedziałem.

— To jest daglezja. Modrzew i daglezja są pięknym drewnem. Mają niezwykłe słoje i kolor.

Popatrzyłem na pocięty pień daglezji. Byłby z niej szykowny stół, ława lub szafa... Czulem zapach szlachetnego materiału. Kolor przypominał dojrzale owoce brzoskwinie. A słoje miały linie smukłych nóg dziewcząt.

4.

Upłynęło trochę czasu zanim Stanisław wyznał:

— Naukę kołodziejstwa rozpoczynałem przed wojną. Za naukę musiałem majstrowi słono płacić. Nie był on zbyt chętny do przekazywania wiadomości. Nie lubił nowości i w ten sposób bardzo mnie mobilizował. Opanowałem wtedy metodę szybkiego oznaczania otworów na szprychy na drewnianej obręczy kół. Jest to dość trudne, bo szprychy muszą wchodzić ukośnie do obręczy. Moją chlebodawcą pomysłom gniewały Jego zdaniem: — „Jako mądrzejsze było od kury”. Teorię dorobiłem znacznie później, właściwie w szpitalach, gdzie leczyłem gruźlicę. Pozostawiła mi ją wojna. Jednego „plata” nie mam już w piersiach. W ogóle przeszedłem sześć razy operacje. Nie chciało się mi już żyć. Przez długi okres byłem „przybity” — jak motyl — szpilką kropłówki do łóżka. Ale jak widać — umknąłem owej białej jędrzy... Nie ominęły mnie również dramaty rodzinne. Straciłem dziecko. Później sparaliżowało żonę. Trwało tak wiele lat, zanim zmarła. Mało kto wie, jak było mi ciężko. A obecnie? No cóż, gdybym się wtedy załamał, poszedłbym z torbami. Stało się inaczej. Zaciąłem się. Przegrzałem swoje życie w środku. Ten warsztat, drewno, las ciągle są przy mnie. I ja też tego się trzymam. Dziś często nachodzą mnie ludzie o pożyczkę. Ponad sto tysięcy złotych mam u dłużników. Niekiedy nie patrzą mi już w oczy. Uciekają. Jeden z nich powiedział nawet: — „No bij i tak pieniądze nie oddam”. Teraz jestem niezależny. Zawsze do tego dążyłem.

5.

Pewnego dnia z powodu deszczu trak stał. Patrzyliśmy na spadające z okapu warsztatu krople wody.

— Woda ma czas — usłyszałem.

— O czym mówisz?

— Wejdziesz wszędzie. Nie można jej wykiwać. Piętnaście lat temu zakładano w Świdnicy wodociąg. Niedługo po wyjeździe brygady urządzenie nawalilo. Mówiono nawet, że potrzebne są nowe pompy. Przyszli wtedy do mnie ze wsi ludzie, abym coś doradził. Dobrałem więc odpowiedź nie przekroję rur, aby zróżnicować ciśnienie i zbudowałem syfon. Śmiali się ze mnie, że chcę, aby woda sama szła pod górę. Ale poszła... Kto dziś pamięta te stare sprawy? A z wodą można wygrać, lecz trzeba ją rozumieć.

6.

Kiedyś pracowałem na strugu zbyt szybko. Stanisław podszedł i wyłączył maszynę. Wtrącił: — W warsztacie nie można się denerwować. A skoro coś nie wychodzi, poczekać i pomyśleć.

Tamtego popołudnia przewinęło się przez warsztat sporo osób. Stanisław oprawił łopaty, ostrzył piłkę i naprawił jakąś część przy wozie, komuś, kto przywiózł do niego ziarno do sru-towania. Pojawili się też — jak zwykle — pijackowie i niemal biagali o pożyczkę. Dał im na piwo i machnął ręką.

Był jednak inny, niż zazwyczaj. Jak by markotny, małowówny i zmieniony na twarzy, więc go zagadnąłem.

— Dziś mój syn miałby 22 lata — usłyszałem. — Zmarł przy porodzie. Uduślił się. Zawsze wyobrażałem sobie ten moment i teraz wiem, że nie dopilnowałem. A zapłaciłem za wszystko z góry...

Zdania wypowiedział tak, jakby nie chciał, abym wyczuł jego ból. Milczeliśmy potem, skupieni na swoich zajęciach.

7.

Na Boga — rzekłem do Stanisława podczas kolejnego spotkania, — jesteś

nego trybut: — „aby minął dzień” i nie wstydzę się tego. Brak im wstydu... Ja jestem spod Poznania. Już jako dziecko pracowałem w polu. Nie miałem czasu na nudę. Kto dziś zrozumie, co znaczy pójść o drugiej w nocy w pole i wygrzebywać pańskie ziemniaki? Własnych nie wystarczało. Te fakty pamiętam. I chociaż nie ukończyłem szkół — odróżnię, co ma wartość, a co nie. Wszakże każdego pozostawiam w zgodzie z jego własnymi zasadami. Lubię spokój. Cenię wszystko, co nie szarpie nerwów. Ze względu na płuca, sporo pracuję na świeżym powietrzu. Gdy przecieram sosnę, przez żywicę czuję las.

Potem Stanisław zdejmując z haka zwinięty pas. Włacza „fazę” i idzie do ogrodu, do traka: — Obiecałem przygotować sztachety na parkan.



Rys. L.H.

zupnie inny, niż rzemieślnicy, których znam. Masz dla każdego czas.

— Tak jest. Mnie nikt nie przeszkadza. Każdy, kto przychodzi, jest ciekawy. Ma coś ukrytego. I to coś mnie interesuje.

— Nie masz z nikim na pieńku?

— Chyba nie, ale męczą mnie ci, co nie nie robią. Są tacy. Przesiedzą bez czynnie niekiedy cały dzień.

— Co o nich myślisz?

— Oni nie lubią pracy. Uważają, że jest to nudne. Do niczego się nie przywiązali. Przywykli natomiast do wygod-

Siadam na zwalisku świeżych pni. Mijają minuty. Parciały pas „tyka” na kole napędowym silnika. Piła po-żera okragłe kłose olszy. A kiedy urosła różowo-żółta sterta sztachet — uszy-szałem.

— Zrobione. Teraz nakarmię kury i przygotuję kolację. Na jutro zaś, postawię obiad na trociniaku. Zanim piec się wypali, rosół będzie gotowy.

8.

Kiedyś strugałem deski, nie patrząc którym końcem kładłem je pod nóż.

Stanisław zatrzymał strugarkę i zdecydowanie powiedział.

— Drewno miękkie: — topolę, wierz-bę, świerk, a nawet akację zupełnie inaczej ścina się zgodnie ze słojami i inaczej „pod włos”. Robią się wtedy zadarcia. Po tej nauce przeszedł za-raz do innego tematu:

— W warsztacie mam wszystko, co jest mi potrzebne. Kompletowałem go latami. Według mnie, najgorszy na-wet warsztat jest lepszy, niż dobra po-sada...

9.

Innym razem powiedział: — Tytuły niżej, pensje wyżej! Ja roboty się nie boję. Wykonuję, co podejdzie: łopaty do chleba do piekarni, stolnice, spa-wam, oprawiam narzędzia... Ale nie mam już zamówień na konne wozy. Minęła ich epoka. Kołodziejstwo to piękne rzemiosło. Wyjechało ode mnie chyba pięćset, albo i więcej wozów. Dziś robię koła, lecz młyńskie, do sru-towników... Udał się do grądu są-siadującego z warsztatem. Na stole sta-ła wanienka. Obok niej worek z cemen-tem. Na folii — żwir i grys.

— Żarna sru-towników mają teraz krótki żywot — powiedział Stanisław. — Przez kombajny. Do żarna dostaje się sporo piasku. Dlatego żarna ściera-ją się szybko, niż dawnej. Na żarna nie bierze się obecnie „amieni”. Najle-psza jest „Piękna Maria” na”, a więc bia-ły, albo różowy grys.

Stanisław opowiada i dobiera skład-niki. Potem ręką miesza zaprawę. A kiedy jest już dobrze wyrobiona, ubija ją w prostym urządzeniu przypomina-jącym formę do tortu. Tak samo jak tortownica, opięta jest ona pasem i kłami. Całość polewa wodą. Stawia na betonie. Za kilkanaście dni koło znaj-dzie się w sru-towniku.

— Przydałaby ci się jakaś Marian-na — wtrąciłem.

— Konkretnie w czym?

— Byłoby ci łatwiej. Zrobiłaby cho-dy by weki na zimę.

— Mam jeszcze 300 szkieł ogórków, pomidorów, gruszek i truskawek od mi-nionego lata. Jest też kilka butli wina. Zamrażarka ma 200 litrów. Jest pełna. Kiedyś mięso musiałem trzymać w piw-nicy. Chłodziłem ją lodem i trocinami, lecz było to zupełnie coś innego. Miał lodownię pod domem, aż na sam głos — mrozi...

— Szwiniaka wypatroszysz?

— Dlaczego nie. Co w tym trudnego? Wszystkiego można się nauczyć. Ale tę sprawę oddaję raczej fachowcom. Na wsi żyją ludzie robotni. Nie chcą być od nich gorszy. A temu co się wokół dzieje, przyglądam się coraz spokoj-niej. I do nikąd się nie spieszę. Dlate-go nie mam samochodu. Co bym z nim zresztą robił? Wcale ni jest mi łatwo stać się ruszyć. Do m’ sta mam auto-bus. Właściwie — wróć do w to swoje miejsce. W pobliżu mam — tu wskazał na cmentarną górkę — wszystkich.

Stajemy pod szczytem domu, widocz-nym od strony dół. Na wysokości oczu rysują się tado czytelne wyra-zy. Powoli rozszyfrowuję napis: — „Dom kuliaka — pasożyta”. Stanisław rzekł:

— Wiatr i deszcze zacierały ślady. A to pozostało z tamtych, powojennych lat. Gospodarzyłem tu wtedy z ojcem. On miał ziemię. Ja sklecałem warsz-tat. Było ciężko. Zostałem przy war-sztacie. Może ci, którzy smarowali dom, poumierali, a może przychodzą dziś do mnie, abym dla nich coś zrobił. Myśl tak jak wino — z czasem dojrzewa.

TOMASZ FLORKOWSKI

Zatroskani własnym losem

Zakończeniu obchodów stulecia „Ga-zety Olsztyńskiej” towarzyszyło dwu-dniowe Forum Polityczne Dziennikarzy (17—18 listopada), zorganizowane przez Stowarzyszenie „Wisła — Odra” i Sto-warzyszenie Dziennikarzy PRL. Wzru-szającym momentem spotkania było wręczenie 19 dziennikarzom starszego pokolenia, szczególnie zasłużonym w u-trwalaniu związków Ziemi Zachodnich i Północnych z Macierzą, medali „Rodła”. Wśród ponad 120 dziennikarzy uczestni-czących w Forum przeważało młodsze pokolenie. Można to uznać za pewien symbol, przejmowanie pałeczki w szta-fecie... Relację z Forum „Gazeta Ol-sztyńska” zatytułowała: „Przez pryzmat historii — spojrzenie w przyszłość”, wskazując tym samym na zmianę i prze-sunięcie akcentów z osiągnięć czasu mi-

nionego, głównie ostatnich czterdziestu lat, na współczesność i nowe, rodzące się problemy. Wokół tej ostatniej proble-matyki skupione były wiodące referaty: „O sytuacji międzynarodowej” wicemi-nistra spraw zagranicznych Jana Kinas-ta, „Europa — Polska — RFN” prof. dra Mieczysława Tomala oraz „Proble-my sąsiedzkiej współpracy i przyjaźni” (z NRD) ministra Macieja Wirowskie-go. Głosy te realistycznie, niezwykle trzeźwo oceniły obecną sytuację między narodową Polski i jednocześnie mocno podkreślały potrzebę obrony własnych, narodowych interesów (oczywiście, przy respektowaniu interesów partnerów).

Dwie linie, historyczna i teraźniejsza, szczególnie wyraziście zarysowały się w wystąpieniu Edmunda Męclewskie-

go, obchodzącego 55 lat pracy dzien-nikarskiej, wybitnego niemieczanicy, au-tora eseju o niemieckim rewizjonizmie, zamieszczonym w publikacji „W cieniu przeszłości”. Oto na naszych oczach roz-grywa się dramat narodowy: doszło do sytuacji, że opuściło Polskę ponad 850.000 naszych rodaków (głównie do RFN), z powodów bądź ekonomicznych, bądź — co bolesne — przez brak świadomości społecznej. Historia dostarczyła nam wielu przykładów przetrwania pol-skości w warunkach zdawałoby się nie-prawdopodobnie trudnych, natomiast obecnie przegrywamy naszą wewnętrzną bój o utrwalenie poczucia polskości. Po-zostając w nomenklaturze „walki” — bitwa o naród musi być obliczona na kilka pokoleń. Odczytuję te słowa jako przesłanie do najmłodszego pokolenia dziennikarzy, nadanie sensu naszej pra-cy.

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Ostatnim, zarazem najważniejszym wydarzeniem obchodów 150 rocznicy urodzin HENRYKA WIENIAWSKIEGO, był IX Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy jego imienia, jaki odbył się w Poznaniu. Patron konkursu, wybitny wirtuoz, zgodnie z duchem epoki romantyzmu, był również kompozytorem dzieł skrzypcowych, pisanych przede wszystkim dla własnych potrzeb estradowych, które to dzieła przetrwały próbę czasu. Stosunkowo niewielki dorobek twórcy Henryka Wieniawskiego był wynikiem jego intensywnej, a zatem czasochłonnej działalności koncertowej, która obejmowała niemal całą Europę, a także Amerykę. Nazywano go drugim Paganinim, herosem skrzypiec. Jako wirtuoz był niedoścignionym mistrzem *staccato*. Cieszył się uznaniem panujących rodów, a bywając w salonach fascynował oglądą towarzyską i niezwykłym poczuciem humoru. O niezwykłości jego talentu świadczy też znany fakt, że w dwunastym roku życia jako najmłodszy w historii uczeń Konserwatorium Paryskiego otrzymał wieniec studium Złoty Medal. Dodać należy, że sam fakt przyjęcia go do tej zasłużonej uczelni był już nie zwykły, bowiem surowy regulamin zabraniał przyjmowania uczniów obcej narodowości i nie mających ukończonych studiów dwunastu lat! Od chwili ukończenia studiów rozpoczęła się jego oszałamiająca kariera artystyczna. Zajmował się także pedagogiką — trwał ślady swej pracy pedagogicznej pozostawił w konserwatoriach w Brukseli i Petersburgu.

Liczne drogi koncertowe artysty prowadziły także przez Poznań, który był obok Warszawy ulubionym miastem jego perygrinacji. Tu wystąpił aż osiemnaście razy, temu miastu i jego melomonom dedykował utwór *Souvenir de Posen*.

Pięknie i wzruszająco powiedział też o Henryku Wieniawskim Prezydent m. Poznania Andrzej Witulski, otwierając IX Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy: „*Ziemia polska jest miejscem urodzenia i matką prochów znakomitego niegdyś wirtuozu i kompozytora Henryka Wieniawskiego. Muzyka była jego powietrzem, ucieleśnieniem w niej całą śpiewność polskiej natury, jej liryzm i to, co jest bliskie wszystkim Polakom: słowiańskie wnętrza, ognistą fantazję we wspólnym mianowniku: a la Polacca*”.

Konkurs im. Wieniawskiego jest najstarszym konkursem skrzypcowym świata, a wyprzedzają go wśród konkursów wykonawczych tylko dwa: o sześć lat konkurs im. Fryderyka Chopina w Warszawie i o dwa lata konkurs pianistyczny im. Ferencza Liszta i Beli Bartoka w Budapeszcie. Pierwszy Konkurs Wieniawskiego odbył się w 1935 roku w Warszawie z inicjatywy bratanka kompozytora — Adama Wieniaw-

skiego, ówczesnego dyrektora Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, który był także organizatorem drugiego i trzeciego Konkursu Chopinowskiego. W roku 1952, ze względu na zniszczenia wojenne, powierzono wyjątkowo organizację konkursu Poznaniowi, gdzie zadołował się on na stałe w auli Uniwersytetu Poznańskiego, sali o wspaniałej akustyce. W swej bogatej historii konkurs promował kariery tak wielkich artystów, jak Ginette Neveu, Dawida i Igora Ojstrachów, Sidney'a Hartha, Charles'a Treger'a, Wandy Wilkomirskiej, Kaji Danczowskiej.

Na tegoroczny konkurs wpłynęła rekordowa ilość zgłoszeń — aż 76. Do współzawodnictwa jednak przystąpiło



SUKCES PANI DOROTY

45 skrzypków z 17 krajów. Przyjechał m.in. kandydat z Australii, USA, ZSRR, Kuby, Japonii i krajów Europy. Uczestnicy wykonywali swój program na różnych instrumentach — słysielśmy wspaniałe brzmienie Stradivariusu, instrumenty całej rodziny cellońskiej, ale i także współczesne dzieła sztuki lutniczej, np. instrument Władysława Gąsienicy-Makowskiego z 1882 r., na którym grała najlepsza Polka Dorota Siuda.

W sobotę 8 listopada najmłodsza uczestniczka — Kanadyjka Patricia Shih wyciągnęła los, który zdecydował o kolejności wystąpień uczestników. Pierwszy wystąpił szesnastoletni Eijun Nimura. Ten niezwykle uzdolniony Japończyk mając dziesięć lat do końca nagrał wszystkie *Kaprysy* Niccolò Paganiniego. Wykonanie przez niego pierwszego utworu, właśnie *Kaprysu* wzbudziło wielką euforię, szkoda jednak, że niekonwencjonalne — i kontrowersyjne wykonanie przez niego *Poloneza D-dur* H. Wieniawskiego przekreśliło jego dalszy udział w konkursie.

Polska reprezentowana była przez czternastoosobową ekipę, z której do drugiego etapu przeszło ośmioro kandy-

datów (w tym zielonogórzanie Dorota Siuda i Jarosław Żolnierczyk, co u niektórych obserwatorów wywołało zdziwienie, do trzeciego zaś dwoje: Dorota Siuda z Zielonej Góry i Robert Kabara z Krakowa). Polska ekipa, z wyjątkiem wspomnianych laureatów, zaprezentowała dość przeciętny poziom. Przygotowujący ich pedagodzy jakby zapomnieli, że konkursy im. Wieniawskiego gromadzą najwybitniejszych młodych skrzypków świata. Brakowało też Polaków, niestety, umiejętności, często typowo technicznych, zawodziła ich pamięć. Powstało pytanie, czy celowym jest, by w tak wielkiej imprezie muzycznej brali udział kandydaci nie mający odpowiedniej odporności psychicznej. Nie każdy przecież talent

muzyczny jest i musi być talentem wirtuozowskim.

Bohaterami konkursu byli, obok wspomnianej już Patricia Shih, Rosjanin Jewgienij Buszkow i Amerykanin Alexander Romanul. Oni też byli od samego początku faworytami poznańskiej publiczności, żywo zresztą reagującej na każdy pojawiający się na estradzie talent i nagradzającej z gościnną noszący występy wszystkich kandydatów. Niewątpliwie jednym z największych talentów była piętnastoletnia Patricia Shih, jakby pozbawiona tremy, pełna dynamiki; grała od pierwszego pociągnięcia smyczkiem w sposób interesujący i przyciągający uwagę słuchacza. Jewgienij Buszkow, laureat I nagrody i Alexander Romanul — to indywidualności artystyczne, zdecydowanie nie przerastające innych uczestników. Gra ich bezbłędna technicznie, o wspaniałych walorach dźwiękowych, niezawodna intonacyjnie, o dużym ładunku emocjonalnym, gwarantowała przez życia artystyczne na najwyższym poziomie, zdolna była ukontentować najwybitniejszych melomanów.

Sporo komentarzy wzbudził werdykt jury, szczególnie daleka pozycja A.

W polskiej ekipie konkursowej znajdowało się dwoje zielonogórzan — wychowanków prof. Stanisława Hajzera. O ich drodze do zaszczytnego udziału w tej imprezie pisałem w kwietniowym numerze „Nadodrza”: „Wierzę, że prof. S. Hajzer, twórca zielonogórskiego fenomenu skrzypcowego, doczeka się swoich laureatów. Ze wszelkim miarą na to zasłużył”. Tamto prowokowanie losu, ku mojej radości, sprawdziło się oszałamiającym sukcesem, szczególnie Doroty Siudy — laureatki konkursu, ale także i Jarosława Żolnierczyka, uczestnika II etapu. Trzeba wiedzieć, że tegoroczny konkurs obfitował w talenty, przebiegał od pierwszego etapu na niezwykle wysokim poziomie wykonawczym, stąd rywalizacja wymagała nie tylko wysokich umiejętności technicznych i muzycznych, ale i dużej odporności psychicznej.

Jak grali nasi uczestnicy? Z pewnością gra ich była porównywalna, zdobyli też sobie uznanie poznańskiej publiczności. Gorzej było ze szczęściem, tak przecież potrzebny. Ono, niestety, jakby ominęło ulubieńca zielonogórzan, Jarosława Żolnierczyka, który podjął konkursową rywalizację pomimo choroby i wystąpił z wysoką temperaturą. Należy żałować, bo dysponuje on dostatecznie wysoką techniką i muzykal-

nością, i mógł też sobie pozwolić na wykonanie arcytrudnej *Fantazji* Pabla Sarasatego. W I etapie pozostawił podobnie duże wrażenie, wykonując z wyjątkiem stylu i części *Koncertu* W.A. Mozarta. Dorota Siuda już w I etapie wyróżniała się opanowaniem, dużym obcym estradowym, chociaż nie był to chyba jej najlepszy występ. Etap II uważany za etap prawdy wypadł dla niej znacznie pomyślniej, szczególnie interesującą wykonaną *Sonata* Jana Brahmsa i *Poeme* Ernesta Chaussona. Skrzypaczce towarzyszył pianista Andrzej Gołosz, który za prezentował się w sposób poprawny, jednak nie współuczestniczył w kreacji dzieła twórczej przez Dorotę Siudę. Inaczej grał jeden z wybitniejszych akompaniatorów, także zielonogórzanin, Karol Schmidt. Trzeba podkreślić niezwykle muzykalność tego pianisty, doskonałe wyczuwanie stylu, który jakże wiele czasu poświęcał prof. Hajzer, niejednokrotnie inspirował ciekawie rozwiązania interpretacyjne. Zaciekawili słuchaczy przede wszystkim kreacją w *Koncertie* Mozarta. Konkurs potwierdził jego znakomitą dyspozycyjność jako pianisty-kameralisty.

W trzecim etapie, w którym występowali już sami laureaci, i gdzie emocje sięgały zenitu, dojrzałość artystyczną była niewątpliwie mocną stroną gry Doroty Siudy. Kiedy zakończyła swoją prezentację *Koncertu* *fi-moll* Henryka Wieniawskiego, spostrzegłem na jej twarzy ogromne zmęczenie i jakby nie zadowolenie. Rzeczywiście, wykonanie nie było wolne od usterek. Nie spowodowało to jednak zniechęcenia, przeciwnie, zmobilizowało ją do ukazania w pełnej krasie swych lirycznych dyspozycji w *Koncertie* *Mieczysława Karłowicza*. Sądzę, że chciała dotrzymać słowa danego poznańskiemu: „*Zamykałam oczy grając w drugim etapie, chociaż robiłam to bezwiednie, przynajmniej teraz, że tremę miałam ogromną. Kiedy jednak stała się przed publicznością, która umie i chce słuchać — jest o wiele łatwiej. Taką właśnie publiczność znalazłam w Poznaniu i za tę życzliwość i pomoc pięknie jej dziękuję. Będę cię czytała teraz dzień i noc, aby w finale zagrać tak, jak najlepiej potrafię*”. Była niewątpliwie najpopularniejsza, sympatyczna Polką wśród szesnastu każdego dnia wypełniających salę poznańskiej publiczności.

IX Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego przeszedł już do historii. Jak potoczą się losy artystycznej kariery laureatów i na ile potwierdzą oni słusność decyzji jury, okaże przyszłość. Jedno jest pewne: wśród laureatów znajduje się zielonogórzanka i to daje nam prawo do ogromnej satysfakcji.

BOGUSŁAW STANKOWIAK

(ciąg dalszy ze str. 1)

widział ostatnią już próbę zahamowania procesu reorientacji Polski z Zachodu na Wschód. To, co wówczas stało się za sprawą panów małopolskich, w późniejszych wiekach było tylko umiarnie: „późniejsze wieki” — pisał — *wyglądziły tylko ten układ stosunków*”.

A Wojciechowski, w przeciwieństwie do pieców idei jagiellońskiej, był najgłębiej przekonany, iż potęga Polski wiązała się nie z ekspansją na Wschód, lecz z pełną kontrolą nad dorzeciem Odry i Wisły, nad tymi ziemiami, na których państwo zostało zbudowane. Wprawdzie w latach trzydziestych, gdy związał się politycznie z wówczas rządzącym obozem, starał się wykazać niesprzeczność idei piastowskich i jagiellońskich, jako wypływających z tego samego „ducha narodowego”, lecz przecież nigdy nie przestał twierdzić, że trwała siła państwa i jego zdolność do ekspansji mogła być tylko w oparciu o „ziemię macierzystą”.

W 1925 r. Wojciechowski przeniósł się do Poznania, gdzie zaoferowano mu stanowisko na tamtejszym Uniwersytecie. Poznańskie środowisko naukowe było interesowało się problematyką zachodnią i stosunkami polsko-niemieckimi, co korespondowało z naukowymi i politycznymi zainteresowaniami młodego uczonego i stymulująco wpływało na ich dalsze umacnianie i rozwijanie. Nic zatem dziwnego, że problematyka polsko-niemiecka stała się kluczowym zagadnieniem naukowej i publicystycznej działalności Wojciechowskiego.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, iż należał on do tych historyków, którzy w poszukiwaniu sensu dziejów i determinant rozwoju organizacji społeczeństwa wskazywali na państwo, jako główny czynnik sprawczy. To w państwie widział twórcę i źródło narodu, a w narodzie wytwór życia państwowego. Państwo było dlań gwarantem bytu narodowego, jego wyrazem i podstawą. Nie oznaczało to wszakże traktowania relacji naród — państwo jako antytezy. Przeciwnie: odwołując się do romantycznej teorii narodu i właściwych jej kategorii typu misji narodowej czy duszy narodowej, wskazywał, że „poczucie narodowe” tkwiące w duszach jednostek, było nadzadne tak wobec rządzących, jak i rządzących państwem. Takie stanowisko w kwestii bytu narodu i jego istoty kierowało go ku poszukiwaniu idei przewodniej będącej treścią polskiego życia narodowego. Znajdował ją w zespoleniu polskiej „duszy narodowej” z chrześcijaństwem. Za najświetniejszy okres w dzie-

jach narodu i państwa uważał czasy piastowskie, epoki Bolesławów, okres budowy własnego państwa i świetnej polityki zagranicznej, zjawisk, w których w pełni dawały o sobie znać znamiona wielkości narodu, jego aktywności i samodzielności. Nic zatem dziwnego, iż terytorium tego właśnie państwa uważał za podstawę jego potęgi.

W latach trzydziestych Wojciechowski ostatecznie sformułował i rozwinął swoją koncepcję „ziemi macierzystych” Polski. Charakterystyczne było zwię-

zawienie terytorialną powstało państwo polskie: „*Prawa historyczne Polski — pisał — nie wynikają tylko z historii osadnictwa. Słowianin polscy bowiem te ziemie nie tylko zasiedlili, ale również na nich stworzyli pierwotną, ponadplemienną organizację państwową, która te ziemie włączyła do obozu cywilizacyjnego ówczesnej Europy*”.

Wojciechowski zwracał przy tym uwagę, że sukcesy niemieckie na polskich rubieżach zachodnich w dobie roz-

Twórcy polskiej myśli zachodniej

Zygmunt Wojciechowski

zanie jej z analizą stosunków polsko-niemieckich. Już w odczycie z 1924 r. Wojciechowski wykazał tendencję do ujmowania tychże stosunków w płaszczyźnie geograficzno-historycznej. W latach trzydziestych, szczególnie w pracy o terytorialnym rozwoju Prus, w której naukowo opracował koncepcję „ziemi macierzystych”, Wojciechowski przedstawił stosunki Polski z zachodnim sąsiadem jako ciągłe pasmo niemieckiej ekspansji i polskich ustępstw od wczesnego średniowiecza po współczesność.

Każdy sukces terytorialny niemieczyny stawał się dla niej podstawą do dalszego nacisku i nowych zaborów. I z tego punktu widzenia utrata linii Odry jawiła się jako wydarzenie decydujące dla dziejów Polski.

Koncepcję „ziemi macierzystych” rozwijał Wojciechowski w walce z tezą niemieckiej historiografii i polityki, jakoby obszary na wschód od Odry stanowiły integralny składnik miejsca Niemiec w Europie. Polski uczonego w oparciu o niepodważalny materiał historyczny dowodził, iż ziemie od Odry i Nysy Łużyckiej po Bug, były we wczesnym średniowieczu zwartym terenem osadnictwa polskiego. Jednakże decydujące znaczenie miał w jego przekonaniu fakt, że właśnie w oparciu o tę pod-

stawę terytorialną powstało państwo polskie: „*Prawa historyczne Polski — pisał — nie wynikają tylko z historii osadnictwa. Słowianin polscy bowiem te ziemie nie tylko zasiedlili, ale również na nich stworzyli pierwotną, ponadplemienną organizację państwową, która te ziemie włączyła do obozu cywilizacyjnego ówczesnej Europy*”.

W szkicu o rozwoju terytorialnym Prus Wojciechowski dowodził, że „do końca XVIII w. znacząca się ze strony Prus tendencja do całkowitego omal oparcia na ziemie macierzystych Polski. Dwa organizmy narodowe i państwowe toczą tragiczną walkę o jedno i to samo miejsce na świecie. Sukces Prus w tej walce musiałby się polczyć z zupełną likwidacją Polski, jakiegokolwiek byłoby zwycięstwo narodu

polskiego osiągnięte na wschodzie, trudno wierzyć, by się mógł utrzymać naród, który by stracił przeważającą część swych ziem macierzystych”. Innymi słowy, to nie sukcesy, czy klęski w ekspansji wschodniej decydowały o bycie narodowym i państwowym, lecz wynik innej batalii, rozgrywanej się już wówczas nad Wisłą. Nad Odrą i Wisłą w przekonaniu Wojciechowskiego mogła być albo Polska, albo Niemcy. Koegzystencja była niemożliwa. Z tym jednak, iż utrata tych obszarów nie była równie doniosła dla obu stron. O ile dla Polski była równo znaczna z jej unicestwieniem, o tyle dla Niemiec nie miały one takiego znaczenia, bowiem nie były ich „ziemią macierzystą”. Natomiast wraz z odebraniem ich Niemcom, Wojciechowski oczekiwał likwidacji niemieckiego ekspansjonizmu, w którym widział istotę dążeń niemieckich od średniowiecza po hitlerowską III Rzeszę. Z takiej analizy wyprowadzał zaś jedyny możliwy postulat: a wschodnich granic Niemiec musi istnieć silne państwo, które swą obecnością odbierze im „ochotę przesuwania granic”, które będzie zdolne do aktywnego przeciwstawienia się rozwojowi żywiołu niemieckiego. Wojciechowski posiadał wizję takiego silnego państwa. Była to wizja jego obozu politycznego. Wraz z ugrupowaniem pod nazwą Związek Młodych Narodowców, Wojciechowski wszedł w orbitę obozu sanacyjnego, nie wyrzekając się wszelako ideologii korzenia tkwiącej w dorobku endecji. Wojciechowski. Zdziśław Stahl, Jan Zdzitowiecki, Klaudiusz Hrabak i im podobni poszli na współpracę z pilsudczykami w przekonaniu, że podział między nimi stracił swą aktualność, a zadaniem chwili było dokonanie syntezy dążeń „młodoendeckich” i prawicy sanacyjnej. Jakkolwiek w sensie organizacyjnym nie przyniosło wówczas większych efektów, to z innego punktu widzenia było to posunięcie oparte na racjonalnych przesłankach wobec ewolucji doktrynalnej obozu pilsudczykowski i ideowego zbliżania się obu nurtów.

W latach wojny Wojciechowski nie przerwał aktywnej działalności w interesującej nas tu sferze. Był czynny w komórkach Delegatury Rządu RP na Kraj zajmujących się problematyką zachodnią, współpracował z wywodzącą się ze środowisk endeckich organizacją „Ojczyzna”, był jednym z animato-

row tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich i Instytutu Zachodniego. W 1943 r. wydał w podziemiu pracę pt. „*Polska—Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*”. Dowodził w niej, że polityka III Rzeszy wobec Polski i Polaków była konsekwencją, konkretyzacją i rezultatem dotychczasowej historii stosunków polsko-niemieckich. Zarazem jednak jako nieuchronny przedstawiał fakt odrodzenia się Polski na obszarze między Odrą, a Bugiem, na obszarze niepodzielnym, muszącym wejść w całości w granice państwa polskiego, którego granice zachodnie oparłyby się na linii Odry i Nysy Łużyckiej. W jednym z odczytów wygłoszonych na konspiracyjnym zebraniu mówił, że odbudowana Polska musi uzyskać „nowe, naturalne oblicze geograficzno-polityczne”: „*Nowa Polska jak na kręgosłupach zbudowana będzie na biegu rzek Wisły i Odry, Warty i Nysy. Nie z tego terenu nie może znaleźć się w rękę niemiecką, a w szczególności w tym rękę nie może znaleźć się lewy brzeg środkowej i dolnej Odry, zaplecze Szczecina po Wartę i przedłużające ją ku południowi pasmo jezior, nie może w rękę hitlerowskiemu znaleźć się żadna z dwu wysp położonych w Zatoce Szczecińskiej*”.

Skonkretyzowanym w ostatnim okresie wojny programem rewolucyjnej lewicy polskiej. Na tej podstawie, w oparciu o wyniesione z domu rodzinnego przekonanie o obowiązku pełnienia służby społecznej, choć zapewne nie bez wewnętrznych wahań i oporów, Wojciechowski zdecydował się włączyć do szeregu tych, którzy akceptując nową władzę stawali do odbudowy Polski z wojennej pożogi, choć przecież jego wcześniejsza droga polityczna związana była z orientacją zasadniczo odmienną od tej, jaką reprezentowały siły kierujące odrodzonym państwem. Przez dziesięć lat powojennych, do śmierci w 1955 r., Wojciechowski konsekwentnie rozwijał i propagował swe naukowe ustalenia i poglądy na temat stosunków polsko-niemieckich, rozwoju państwa polskiego, znaczenia dla Polski jej ziem zachodnich.

Na trwałe wpisał się w poczet tych, którzy swą myślą torowali drogę przekształcaniu społeczeństwa o tym, iż ziemie nad Odrą i Nysą muszą być częścią Polski.

STANISŁAW CIESIELSKI

— Dzień dobry, zadowolone i wesole wizytantki — śpiewa Ciupelek. — A teraz szybciutko, wszystkie stają w kolejce do przeglądu lekarskiego. W kolejności przysięgi i bez żadnych bójek. Jak w koszarach, tak jak to lubi Pan-Pan.

— O, jakie niewyspane oczka, Kulczacku — szczyplę ją w policzek Chińczyk Porfirio. — Widać, że ci w Służbie nie stać.

— Jeśli będziesz pracować na własną rękę, to długo tutaj nie posiedzisz — ostrzega Ciuciumama. — Słyszałaś to już z tysiąc razy od Pan-Pana.

— Wizytantka i kurwa, przepraszam za wyrażenie, to dwie rzeczy nie do pogodzenia — podkreśla pan Pantoja. — Panie są cywilnymi funkcjonariuszami Sił Lądowych, a nie handlarzami seksualnymi.

— Ale ja nie nie zrobiłam, Ciuciumamo — grozi Chińczykowi podrapaniem, klepie się po tyłku, tupie Kurczak. — Wyglądam tak niewyraźnie, bo mam grypę i nie mogę zasnąć w nocy. (...)

— Przysięgam sobie, że już nigdy więcej nie dam się zrobić w ten przegląd lekarski i nie dam się, Ciupas — opiera pięści na biodrach Cyculka. — Ten pielęgniarz to lepszy cwaniak, mnie już nigdy więcej palcem nie dotknie.

— To ja cię dotknę — krzyczy Ciupelek. — Nie czytałaś tego plakatu? Czytaj, czytaj, co tam pisze, do jasnej cholery.

— „Rozkazy wypełnia się natychmiast i bez zastrzeżeń” — czyta Ciuciumama.

— A tego długiego też nie czytałaś? — krzyczy Chińczyk Porfirio. — Wisi już dłużej niż mój siąg.

— „Wątpliwości co do słuszności rozkazu można wysuwać dopiero po jego wypełnieniu” — czyta Ciuciumama.

— A nie czytałam, bo nie umiem czytać — śmieje się Cyculka. — Mam swój honor.

— Cyculka ma rację, Ciuciumamo — występuje z szeregu Kindzulka. — To taki większy sprytny, ten cały przegląd lekarski to wielkie oszustwo. Gadając, że niby szuka różnych chorób, tak nam pakuje rękę, że aż w mózgu świdruje.

— A ostatnim razem to musiałam go trzepnąć — drapie się po plecach Coca. — Bo jak się nagle na mnie nie rzuci i jak mnie nie ugryzie akurat tam, gdzie mam te, pani wie, skurcze.

— Do kolejki, do kolejki i nie protestować, bo pielęgniarz też ma swoje serduszek — klaszcze, uśmiecha się, popędza ją Ciuciumama. — Nie bądźcie takie niewdzięcznice, no i czego jeszcze więcej chcecie, czy Służba nie bada was po to, żebyście były jak najzdrowsze?

— No, ciuciumamki, stawać w kolejce i przechodzić — rozkazuje Ciupelek. — Pan-Pan chce, żeby wszystkie konwoje były już gotowe do wyjazdu, kiedy on przychodzi. (...)

— Przekazaliście generałowi Scavino moją prośbę? — celuje w czoło siedzącą w słońcu na gałęzi drzewa, strzela i puduje kapitan Pantoja. — Zgadza się mnie przyjąć?

— Oczekuje pana w komendaturze o dziesiątej rano — patrz, na szaleńczo trzepocącego, odlatującego ponad drzewami ptaka porucznik Bacacorzo. — Ale zgrzytał zębami wyrażając zgodę, już pan wie, że Służba Wizytantek nigdy nie cieszyła się jego względami.

— Wiem aż nadto dobrze, w ciągu siedmiu miesięcy mogłem zobaczyć się z nim tylko raz — znów unosi strzelbę, strzela w pustą zółtą skorupę, podbija ją w tumanach kurzu kapitan Pantoja. — Czy myślicie, Bacacorzo, że to sprawiedliwe? Nie dość, że chodzi o trudną misję, to Scavino patrzy na mnie spodoba i uważa mnie za ciemnego typka. Jakbym ja wymyślił Służbę.

— Wymyślić to jej pan kapitan nie wymyślił, ale zrobił z niej cuda — zasłania sobie oczy porucznik Bacacorzo. — Służba Wizytantek to już fakt dokonany, a w garnizonach nie tylko że ją zaaprobowano, ale przywitano wprost owacyjnie. Powinien pan być dumny ze swojej pracy.

— Chciałbym, ale jeszcze nie mogę — odrzuca pustą łuskę, ociera czoło, znów ładuje strzelbę i oddaje ją porucznikowi kapitan Pantoja. — Nie widziacie? Sytuacja jest dramatyczna. Kosztem oszczędności i wielkich wysiłków zapewniamy pięćset usług tygodniowo. To ponad nasze siły, ledwo zjemy. A wiecie, jakie zapotrzebowanie powinniśmy pokryć? Dziesięć tysięcy, Bacacorzo!

— Na wszystko przyjdzie czas — od niechciana celuje w krzak, strzela i trafia gołębia porucznik Bacacorzo. — Jestem przekonany, że upór pana kapitana i system pracy doprowadzi do tych dziesięciu tysięcy ciupciań, panie kapitanie.

— Dziesięć tysięcy tygodniowo? — marszczy czoło generał Scavino. — Pantoja, to już przesada granicząca z obłędem.

— Nie, panie generale — czerwienią się policzki kapitan Pantoja — to naukowa statystyka. Proszę popatrzeć na te grafiki. To bardzo do kładne wyczerpanie i raczej bardzo ostrożne. Proszę spojrzeć tutaj: dziesięć tysięcy usług tygodniowo odpowiada „podstawowej potrzebie psychiczno-biologicznej”. Jeśli spróbujemy pokryć „męską pełnię” młodszych podoficerów i szeregowców, liczba ta osiągnie cyfrę 53 200 usług tygodniowo. (...)

— Zaraz mnie szlag trafi — dyszy ojciec Beltran. — Kto wam wbił do mózgowicy takie zboczenia? Kto wam powiedział, że „pełnię męską” osiąga się tylko w grzechu cielesnym?

— Najwybitniejsi seksuolodzy, biolodzy i psycholodzy, proszą księża — spuszcza oczy kapitan Pantoja.

— Mówiłem już wam, żebyście zwracali się do mnie per księża majorze, do jasnej cholery — ryce ojciec Beltran.

— Przepraszam, księża majorze — stuk obcasami, miesza się, otwiera teczkę, wyjmując papiery kapitana Pantoja. — Pozwoliłem sobie przynieść panu generałowi te sprawozdania. To streszczenia dzieł Freuda, Habelocka Ellisa, Wilhelma Steckela, wycinki z Reader's Digest, prace Alberta Seguin, naszego rodaka. Jeśli pan generał woli zajrzeć bezpośrednio do księżek, to mamy je w bibliotece centrum logistycznego.

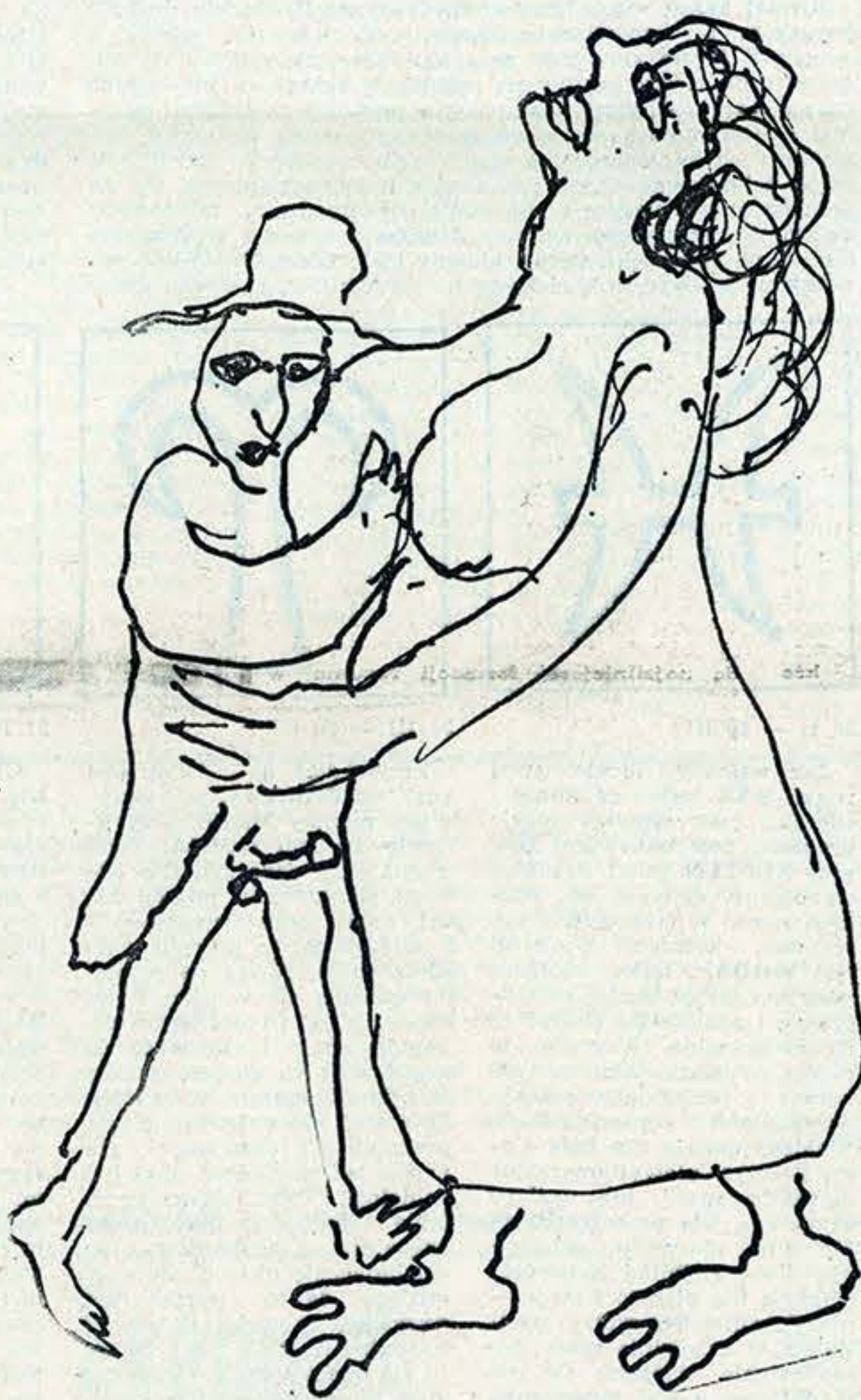
— Bo oprócz kobiet rozwodziłem również po koszarach pornografię — uderza w stół ojciec Beltran. — Wiem o tym bardzo dobrze kapitanie Pantoja. W garnizonie Boria ten karzeł, ta kreatura, ten wasz pomocnik rozdawał takie oto paskudztwa: Dwie noce rozkoszy i Życie, cierpienie i miłość Marii Farantula.

— Dla przyspieszenia erekcji użytkowników i zaoszczędzenia czasu, księża majorze — tłumaczy kapitan Pantoja. — Teraz robimy to regularnie. Istotny problem tkwi w tym, że nie posiadamy wystarczającej ilości materiałów. To brukowe edycje, rozpadają się przy pierwszym dotknięciu. (...)

PANTALEON I WIZYTANTKI

Mario Vargas Llosa

(1)



RYS. RYSZARD RYCKOWSKI

je na baczność. — Nigdy nie wyobrażałem sobie, że Siły Lądowe mojej ojczyzny stoczą się na dno takiej zginił. Spotkanie to jest dla mnie bardzo uciążliwe. Panie generale, proszę o zezwolenie odejścia.

— Proszę bardzo, księża majorze — potakuje przyzwyczajając generał Scavino. — Widzicie, Pantoja: do jakiego stanu doprowadza Beltrana ta przeklęta Służba Wizytantek. I ma rację, jak najbardziej. Proszę was, byście w przyszłości zaoszczędzili nam tych drażliwych szczegółów swojej pracy. (...)

— Jesteśmy przeładowani pracą — uskarża się kapitan Pantoja. — Czynimy nadludzkie wysiłki, aby sprostać naszym obowiązkom. Ale jest to nie możliwe. Droga radiowa, telefoniczna, listowa bombardują nas żądaniami, którym nie jesteśmy w stanie sprostać.

— Co jest, do jasnej cholery, od trzech tygodni nie przyjeżdża do Boria ani jeden konwój wizytantek — wścieka się, potrząsa słuchawką, krzyczy pułkownik Peter Casahuanqui. — Przez was, kapitanie Pantoja, moi ludzie pogrążeni są w stanie kompletnej apatii, złożę skargę do dowództwa.

— Prosiłem o porządną konwój, a przysyłacie mi próbki — gryzie paznokcie małego palca, spluwa, oburza się pułkownik Maximo Davila. — Czy myślicie, że dwie wizytantki są w stanie obsłużyć stu trzydziestu szeregowców i osiem nastu młodszych podoficerów?

— A co ja mam, kochasiu, zrobić, jeśli nie mam więcej dziewcząt w rezerwie — macha rękami, opłukuje radiotelegraf Ciuciumama. — Zebym znosiła kurwy jak jajka? A zresztą posłaliśmy ci dwie, ale za to jedną była Cyculka, która warta jest dziesięciu innych. I na koniec, kiedy to piliśmy brudzi, krokodyliki?

— Złożę skargę do komendatury V Okręgu na stosowane przez was dyskryminacje i kumoterstwo krooka — dyktuje pułkownik Augusto Waldos. — Garnizon nad rzeką Santiago otrzymuje co tydzień jeden konwój, a ja jeden na miesiąc kropka. Jeśli myślicie, że artylerzyści są

gorszymi mężczyznami od tych z piechoty jestem gotów udowodnić wam coś zupełnie przeciwnego przecinek kapitanie Pantoja. (...)

— Wiem o tym wszystkim aż nazbyt dobrze i tylko mnie to martwi — przytakuje generał Scavino. — Ale nie zaskakuje: nie kładź palca do ognia, to się nie sparzysz. Ludzie zdeprawowali się i oczywiście chcą coraz więcej. Błąd popełniono już na samym początku, rozpoczynając tę akcję. Nie da się już teraz powstrzymać tej lawiny, liczba zgłoszeń będzie z każdym dniem wzrastać.

— Strasznie się cieszę, że znowu pana widzę, panie Pantoja, pożera wszystko wzrokiem, wije się, rozsiada zapach perfum w powietrzu, piszczy Brazylijka. — A więc to jest sławny Pantiland, No, no, tyle się o tym nasłuchałam i nie mogłam sobie wyobrazić, jak to wygląda.

— Sławne co? — wyciąga szyję, przysuwa krzesło Pantaleon Pantoja. — Siadaj, proszę.

— Pantiland, tak ludzie nazywają to wszystko — rozpóściła ramiona, kokietuje wygolonymi pachami, śmieje się Brazylijka. Nie tylko w Iquitos, wszędzie. O Pantilandzie słyszałam w Manaus, Co za dziwna nazwa, to chyba od Disneylandu, prawda?

— Obawiam się, że już raczej od Panta — obsersuję ją z góry na dół, z boku, uśmiecha się do niej, poważnie, znów się uśmiecha, poci się pan Pantoja. — Ale ty nie jesteś Brazylijką, tylko panu Peruwianką, tak? O ile mogę wnioskować z twojego sposobu mówienia.

— Urodziłam się tutaj, a tak mnie przeważa, bo mieszkam w Manaus — siada, podciąga spódnice, wyjmując puderniczkę, pudruje sobie nos, doleczki w policzkach Brazylijka. — Ale jak pan widzi, wszyscy w toficu wracają do kraju, w którym się urodzili, ak w tym walcu. (...)

— A co się mówi o Pantilandzie? — bełni palcami po biurku, buja się na krześle, nie wie, co zrobić z rękoma, Pan Pantoja. — Co tam słyszałaś?

— Ludziom to już wierzyć nie można, strasznie przesadzają — mówiąc krzyżuje ramiona, nogi, mizdrzy się, p szcza oko, obliżuje lekko wargi Brazylijka. — Niech pan sobie tylko wyobrazi, że w Manaus gadano, że to jest miasto, w którym jest masa dorów i uzbrojeni strażnicy.

— No dobrze, dość że, nie jest tak źle, dopiero zaczynamy — usiela się, prezentuje się jako miły, towarzyski, rozmowny Pantaleon Pantoja. — Pragnę ci zwrócić uwagę, że jak na razie mamy już okręt i wodnopłatowiec. Ale ta reklama międzynarodowa wcale mi się nie podoba.

— Mówili, że jest to robota dla wszystkich na fantastycznych warunkach — unosi i opuszcza ramiona, zabawia się swoimi palcami, mruga szybko rzęsami, przebiega szyję, potrząsa włosami Brazylijka. — Ale wybrałam sobie Bóg wie co i wsiałam na statek — w bardzo dobrego domu i tylko czekają na spakowanie walizkach, żeby przyjechać do Pantilandu. Natną się tak samo jak ja.

— Jeśli nie robi różnicy, to bardzo cię proszę, byś nazywała to miejsce centrum logistycznym, a nie Pantilandem — stara się usilnie sprawić wrażenie poważnego, pewnego i sprawnego pan Pantoja. — Czy Porfirio wytłumaczył ci, dla czego kazalem ci przyjść?

— Coś mi tam burknął — marszczy nos, mruga rzęsami, roziera powieki, rozpala źrenice Brazylijka. — Czy to prawda, że może się znaleźć dla mnie praca?

— Tak, będziemy rozszerzać Służbę — wpada w dumę, zamyśla się nad tablicą z wykresami Pantaleon Pantoja. — Zaczynaliśmy z czterema wizytantkami, później podwyższyliśmy do sześciu, ośmiu, dziesięciu, a teraz będzie piętnaście wizytantek. Kto wie, może pewnego dnia będzie my tacy, jak o nas mówią.

— Bardzo się cieszę, już miałam zamiar wracać do Manaus, bo tu widziałam raczej wszystko na czarno — zagryza wargi, obliżuje usta, przypatruje się uważnie paznokciom, strzepuje pyłek ze spódnicy Brazylijka. — Zdawało mi się, że kiedy poznaliśmy się u Aladyna Panduro, to nie zrobiłam na panu dobrego wrażenia.

— Mylisz się, zrobiłaś bardzo dobre, bardzo dobre — porządkuje ołówki, teczki, zamyka i otwiera szuflady biurka, kaszle Pantaleon Pantoja. — Zakontraktowałbym cię wcześniej, ale budżet na to nie pozwalał.

— A można wiedzieć, jakie zarobki i obowiązki, proszę pana? — wyciąga szyję, spłata ręce, wywodzi trele Brazylijka.

— Trzy konwoje tygodniowo, dwa lotnicze i jeden okrętowy — wylicza Pantaleon Pantoja. — A w konwoju dziesięć usług minimum.

— Konwoje to podróże do koszar? — dziwi się, klaszcze, wybuchu śmiechem, puszcza jobuzer sko oko, mizdrzy się Brazylijka. — A te usługi to zdaje się, ojej, pęknąć można. (...)

— Procentowo wyraża się to w 50 procentach od sumy potrąconej młodszy podoficerom i szeregowcom z żołdu — pisze na kartce, oddaje ją, wyszczególnia Pantaleon Pantoja. — Drugie 50 procent inwestuje się w utrzymanie. A teraz chociaż wiem, że jeśli o ciebie chodzi, to jest to niepotrzebne, bo ile jesteś warta, hmm, rzuca się po prostu w oczy, ale muszę postąpić zgodnie z regulaminem. Rozbierz się na chwilę, bardzo proszę.

— Ojej, a to szkoda — zasmuca się, wstaje, przechodzi krokiem modelki, robi grymas Brazylijka. — Mam, no wie pan, mam tę swoją sprawę, panie Pantoja, wczoraj właśnie mi się zaczęło. A nie przeszkadzałoby panu tym razem spróbować tylnymi drzwiami? W Brazylii bardzo to lubią, a nawt wola.

— Chcę ci się tylko przyjrzeć, zatwierdzić — sztywnieje, blednie, marszczy brwi, mówi z naciskiem Pantaleon Pantoja. — To egzamin z prezenzji, przez który muszą przejść wszystkie. Ale ty masz rozgorączkowaną wyobraźnię.

— Aha, to dobrze. Bo ja właśnie zaczęłam sobie myśleć, gdzie pan chce załatwić sprawę, jak tutaj nie ma nawet dywanu — stuk lekko stopą o podłogę, uśmiecha się uspokojona, rozbiera, składa ubranie, pozuje Brazylijka. — No i jak? Troszkę jestem chudziutka, ale w ciągu tygodnia odzyskam swą normalną wagę. Mówi pan, że będą miały powołanie w żołnierzyków?

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — patrzy, przytakuje, wstrząsa się chrzyp Pantaleon Pantoja. — Jeszcze większe niż Cyculka, nasza gwiazda. Dobrze, przyjeta, możesz się ubrać. (...)

CDN

(Fragment powieści „Pantaleon i wizytantki” pochodzi z wydania PIW 1976 r. Przekład Carlos Marrocan Casas)

KTO CHCE, NIECH WIERZY

HOROSKOP na rok 1987

Dla osób urodzonych od 22 grudnia do 21 czerwca

(opracowany według wydawnictwa pt. "Huters Neuer Astrologischer Kalender für das Jupiterjahr")

Kończy się rok 1986 i wkrótce już Saturn przekaże władzę Jowiszowi. Planeta Saturn, pod której wpływem pozostawał świat w 1986 roku, symbolizuje stabilizację, krystalizację idei, konkretyzację poczynań i dążenie do wzmocnienia struktur już istniejących, przy opóźnieniu i ograniczeniu wszelkiego rozwoju. Spójrzmy wstecz, a z pewnością w wydarzeniach, jakie miały miejsce w 1986 roku, dopatrzymy się odniesień do tej symboliki. Bohaterami Roku Saturna byli ludzie urodzeni pod znakiem Koziorożca, ponieważ ten znak zodiaku znajduje się pod stałym wpływem Saturna. Miali więc „Koziorożce” większe szanse, niż ludzie spod pozostałych znaków, na powodzenie, korzystne zmiany losu, udane przedsięwzięcia i mile niespodzianki. Natomiast z początkiem roku 1987 zaczyna się okres dobrej passy dla osób spod znaku Strzelca, gdyż ten z kolei cieszy się stałą opieką wielkiego Jowisza. Podczas, gdy Saturn znamię sile i zwarty system ograniczeń, to Jowisz, zwany również Jupiterem, a w starożytnych personifikacjach Zeusem, Amonem i Brahmą, coś całkiem przeciwnego, mianowicie — ekspansję, tworzenie przemiany, rozwój wszelkich struktur, dążenie do doskonałych form egzystencji, przy tym mądrość życiową i wiarę w tzw. wartości wyższe, duchowe i umysłowe. W takim nastroju obejmuje Jowisz pieczę nad nami, a my witamy go w nadziei, że nie ukaże nam swej drugiej twarzy. Bo przecież wiemy, że bóg Zeus potrafi być mściwy i działać destrukcyjnie, a swój wspaniały altruizm i filozoficzną refleksyjność, zamieniać w ekstrawagancję i brak umiarkowania.

Po panowaniu Marsa w roku 1981, Słońca w 1982, Wenus w 1983, Merkurego w 1984, Księżycy w 1985 i Saturna w 1986 roku, Jowisz bierze w ręce losy świata skłóconego, pełnego zadrza-

nień i punktów zapalnych. Czy swą mądrością, rozwagą i humanitaryzmem zdoła zaprowadzić pokój we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej? Czy w umyśle ludzi, w ich zamiarach i dokonaniach, zechce wprowadzić moralny ład? Czy na polityczne, społeczne i artystyczne sceny świata pomoże wejść osobom spod, milego mu, znaku Strzelca? Na te pytania odpowiemy sobie za rok, a tymczasem posłuchajmy, co mówią astrologowie i wróżbi. „Będzie to rok dobrego partnerstwa, poprawnych stosunków między ludźmi i szczęśliwych małżeństw” — mówi jasnovidz Josef Sowinski. „Pokoju myśli Wschodu przenikną mur i skruszą żelazo” twierdzi inny jasnovidz, Roland Stos v. Hagenthal. Poprawę stosunków międzynarodowych przepowiada także jego koleżanka Madame Virchow. Wróżka, reklamująca się 50 letnim stażem, imieniem Lucina-Lou, zapowiada rok pomyślny w polityce, ale niekorzystny dla człowieka z powodu „plagi”; ma na myśli prawdopodobnie choroby. Astrolog nazwiskiem Abele, ostrzega w 1987 roku przed groźnymi skutkami zaniedbania trzech żywiołów: Wody, Ziemi i Powietrza, oraz przestrzega przed zemstą żywiołu czwartego, czyli Ognia.

Niemal każde czasopismo wychodzące na Zachodzie drukuje horoskopy i przepowiednie. Rozmaitość ich jest wielka, a prognozy często sprzeczne ze sobą, choć, jak zapewniają autorzy, sporządzone zostały na podstawie układu sił niebieskich oraz tajemnych energii płynących z przyrody. Niektórzy wróżbi nawiązują do powrotu do natury: ubierania się w len, bawełnę i skóry, odrzucenia niektórych zdobyczy cywilizacji (m.in. telewizora), spania na słomie i wegetarianizmu. Co do jednego przepowiednie i wskazówki się zgadzają, mianowicie co do dobroczynnego wpływu Jowisza na naszą niespokojną ziemię, na nasze lęki, stresy, kłopoty i konflikty. Ma to być rok dobry w polityce, rok ciekawych wynalazków, rozkwitu sztuk

pięknych, rozwoju medycyny, słowem rok wszelkich zdarzeń akceptowanych przez ludzką i ludzką przyrodę.

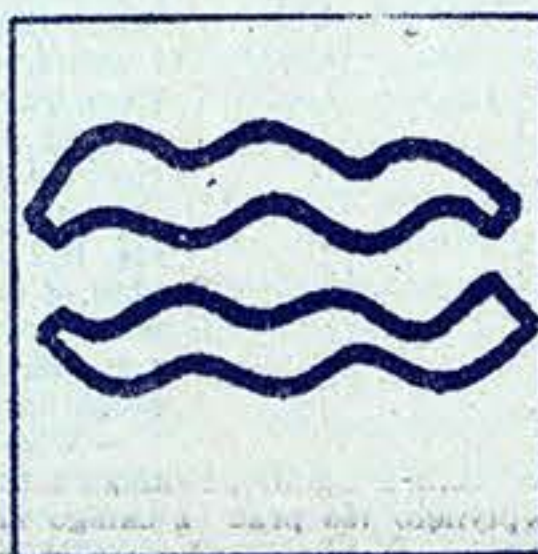
Jako ciekawostkę warto wiedzieć, choć nie ma to dla nas większego znaczenia, że nasz Nowy Rok 1987, w kalendarzu juliańskim ma kolejną liczbę 6700, w żydowskim jest to rok 5747, a w mahometańskim 1407. Dawna astrologia przywiązuje symbolikę planet również do poszczególnych dni tygodnia. I tak poniedziałek jest dniem Księżycy, wtorek Marsa, środa Merkurego, czwartek Jowisza, piątek Wenus, sobota z Saturnem, a niedziela ze Słońcem. Księżyc niesie spokój, bezpieczeństwo i dobre samopoczucie, Mars energię, dynamikę i inicjatywę, Merkury racjonalne i świadome podejście do zagadnień, Jowisz ekspansję i tendencję rozwojową, Wenus miłość i potrzebę bliskości drugiego człowieka, Saturn tradycjonalizm i korzystanie z doświadczeń, zaś Słońce tworzącą vitalność i poczucie własnej wartości. Biorąc to pod uwagę — pamiętajmy, aby w 1987 roku wszelkie ważne sprawy rozpoczynać od poniedziałku, a we wtorek załatwiać problemy, wymagające szybkich decyzji. Środa będzie najlepszym dniem na egzaminy, przemówienia i obronę własnych tez, a czwartek na podróże, poznawanie nowych sfer, zawieranie nowych znajomości oraz naukę. Wymarzoną namiętność na romantyczne spotkanie, seksowne randki, przyjacielskie pogawędki, a także odwiedzanie teściowej, będzie piątek. Sobotę, dzień mocnych struktur, dobrze będzie poświęcić rodzinie lub zebraniom organizacyj i związków, na których trwałości nam zależy. Niedziela zgodnie z jej przeznaczeniem niechaj będzie dniem odpoczynku, pogodnych spacerów oraz przemyśleń na temat naszej egzystencji, naszej pracy lub twórczości. Kto chce, niech czyta, kto chce, niech wierzy, a ja, w imieniu Redakcji „Nadodra” życzę Wam spełnienia wyłącznie dobrych wróżb!

EWA FOSS



22 XII — 20 I

Urodziłeś się pod znakiem KOZIOROŻCA. Twoim patronem jest SATURN, a żywiołem ZIEMIA. Jeśli wykorzystasz swoje szanse w 1986 roku, który był Rokiem Saturna, wkraczasz w Nowy Rok 1987 pewnie, mając wokół siebie korzystne układy, w głośnie niezapomniane, a w kieszeni pieniądze. Saturn Ci sprzyjał przez 12 miesięcy, a teraz chodzi o to, aby nie stracić rozbiegu, którego nabraweś, wiary w siebie i chęci działania. Bo, niestety, świetny okres minął i mogą przyjąć kłopoty. Postępuj ostrożnie, z wrodzoną Ci konsekwencją, a jakoś przebrniesz przez tych parę pierwszych tygodni. Jesteś ambitny, przy tym wytrwały, więc zazwyczaj dochodzisz do wyznaczonego celu. Bądź spokojny, tak też będzie i w tym roku. Z pomocą przyjdzie Ci Twoje przywiązanie do raz przyjętego programu i wierność raz przyjętym ideałom. Wierny lubisz być także w miłości i stały w uczuciach, jednakże teraz może zjawić się ktoś, kto wprowadzi trochę zamieszania w Twoje życie osobiste, a Ty uznasz, że pomimo niebezpieczeństwa, warto zboczyć z drogi. Twoja patronka Ziemia uczyniła Cię realistą, a Twoim mecenasem Saturn, który lubi swych podopiecznych trzymać w ryzach, tradycjonalistą, nawet konserwatystą. Nie lubisz zmian i boisz się ich. Ale Twój znak Koziorożec, poza innymi cechami, dał Ci bujną wyobraźnię, którą się często posługujesz nawet wobec siebie — i dobrze, że tak jest, w przeciwnym razie miałbyś życie ubogie. Wśród ludzi spod znaku Koziorożca jest bardzo wielu artystów, architektów, pisarzy, także prawników i polityków, bo też w polityce wyobraźnia jest potrzebna bardziej, niż gdzie indziej. Masz słabe kości i stawy, Twoją stałą dolegliwością jest najczęściej reumatyzm. Miewasz kłopoty z zębami, mogą Ci dokuczać korzonki nerwowe i nerki. Pamiętaj o pożywieniu bogatym w żelazo, wapń i witaminę B. Unikaj alkoholu, rzuc palenie. Pod koniec roku znaczące wydarzenie w rodzinie. Szczęśliwy dzień sobota.



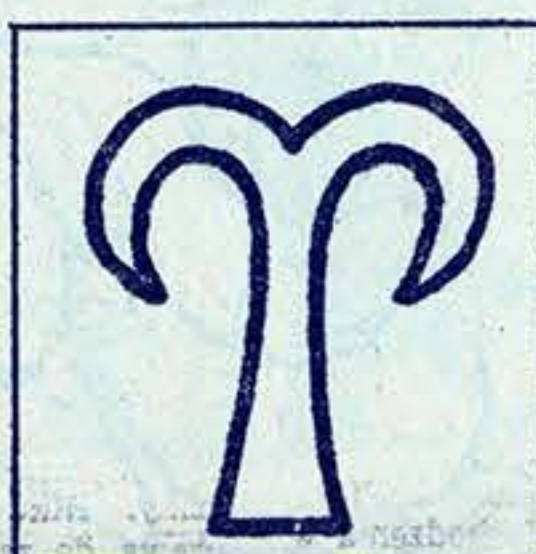
21 I — 19 II

Twoim znakiem zodiaku jest WODNIK, opiekunką planetą URAN, żywiołem POWIETRZE. Zaczynasz Nowy Rok z bagażem spraw niezakończonych. Jesteś obciążony obowiązkami i tematami, które przeszkadzają Ci w samorealizacji i w wykonywaniu życiowych planów. Marzyłeś zawsze o życiu niekonwencjonalnym, wolnym, ale brak zdecydowania i odwagi sprawia, że tkwisz w punkcie, z którego, pomimo swej wrodzonej odkrywczości, nawet wizjonerstwa, nie widzisz wyjścia. Rok 1987 będzie dla Ciebie rokiem trudnych wyborów. Stajesz przed koniecznością zrobienia kroku decydującego o Twoim dalszym życiu. Krok ten dotyczy będzie np. zawarcia małżeństwa, albo rozwodu, podjęcia nowej pracy, zmiany zawodu lub miejsca zamieszkania, rozpoczęcia długotrwałego leczenia itp. W każdym razie będzie to okres ważnych, życiowych decyzji, kto wie, czy nie najważniejszych, jakie dotychczas podejmowałeś. Nie obcejdź się bez utarek i kłopotów, a wszystko to może źle wpłynąć na Twoje zdrowie i samopoczucie. Szczególnie narażona będzie serce i układ krążenia. Dbaj o siebie, staranniej, niż przedtem, dobieraj sobie towarzystwo, przestrzegaj punktualnych posiłków i 8-godzinnego snu. Spróbuj zrzucić z siebie część obowiązków oraz spraw, którymi obciążasz się od dawna. Pod względem finansowym ten rok nie nasłuchi Ci zmartwień, mimo to nie unikniesz jakichś nieporozumień w rodzinie, mających prawdopodobnie tło finansowe. W połowie roku zarsują się trudności zawodowe, które wyjaśnisz dopiero w grudniu. Wtedy to też przeżyjesz wspaniałą przygodę erotyczną, taką, która pamiętać będziesz przez całe życie i która wynagrodzi Ci poprzedni, niedobry okres. Generalna rada: przygotuj się do ważnych decyzji życiowych, odstępując od części prac, jakie przyjąłeś na siebie, oraz aplikując sobie regenerujący wypoczynek w samotności.



20 II — 20 III

Jak wszyscy ludzie spod znaku RYB jesteś delikatny i subtelny, jak wszyscy ludzie urodzeni pod wpływami planety NEPTUN jesteś wrażliwy na piękno, skłonny do wielkich uczuć i poświęceń i jak wszyscy, których żywiołem jest WODA, łatwo ulegasz emocjom, jesteś bardzo romantyczny i zdajesz się słyszeć to co niesłychane. Wszystko to razem powoduje skłonność do nerwicy i wszelkiego rodzaju przypadłości psychicznych. Niekiedy nekają Cię bóle głowy i niczym niewytłumaczalne momenty apatii, lub nagłego ożywienia. Nie przeszkadza to Twojemu otoczeniu, przeciwnie. Twoi najbliżsi zazwyczaj traktują Cię ulgowo i serdecznie. Potrafisz być czułym partnerem w dziedzinie seksu, to też zwykle cieszysz się powodzeniem u płci przeciwnej. Bywają dni, że erotyzm wprost z Ciebie emanuje. Stąd kłopoty! Nie unikniesz ich również w tym roku. Czyjaś zazdrość i chęć odwetu wywołają perypetie, z których nie zdołasz się oswobodzić przez cały rok. Jednakże możesz ich całkiem uniknąć, jeżeli postępować będziesz rozsądnie i wbrew swej naturze unikając pewnych znajomości. W połowie roku czeka Cię jak śmiutek, przy tym straty materialne. „Ryby” często ulegają nałogom. Okaż hart ducha i odrzuć pokusy, bo nie jest jeszcze za późno. Wielu Twoich współtowarzyszy spod znaku Ryb doszło do światowych osiągnięć w dziedzinie nauk ścisłych i sztuk pięknych (Einstein, Chopin, Bach i inni). Nie chodzi o to, abyś dogonił tych wielkich. Ale wykorzystuj dane Ci przez naturę przymioty i zdolności, wzbogacane nieustannie przez Twój różnorodny, godny pozazdrościć, różnorodny świat doznań, staraj się iść przez życie twórczo i pożytecznie. Ten rok okaże się dla Ciebie dobry jeśli chodzi o realizację wszelkich planów. Spróbuj też rozpocząć to, co od dawna odkładasz. Najkorzystniejszym okresem dla Ciebie będzie wiosna.



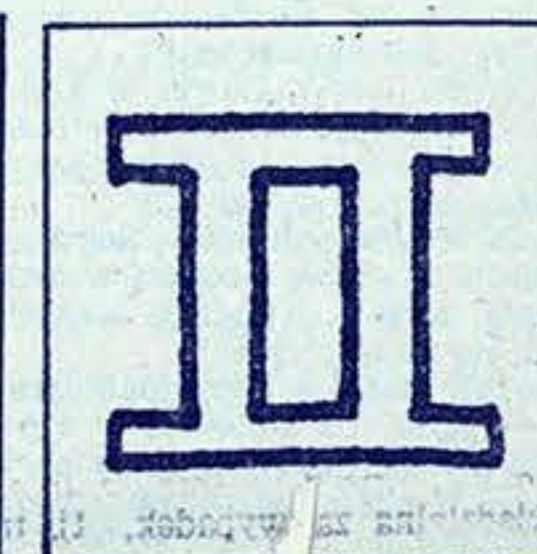
21 III — 20 IV

Przyszłeś na świat pod znakiem BARANA, pod wpływami planety MARS, przy udziale żywiołu OGNI. Twój protektor obdarzył Cię odwagą, aktywnością, pogodą ducha, nawet entuzjazmem, czyli wszystkim, co potrzebne do zdobywania, parcia do przodu i wspinania się w górę. Równocześnie dał Ci niecierpliwość, impulsywność i skłonność do reagowania na gorąco, czasem w gniewie, czasem w miłości. Przy tym, nie gniewaj się, ale poskapił Ci skromność, nie można też powiedzieć, abyś był subtelny... Toteż idziesz przez życie śmiało, szybko, czego pragniesz — zdobywasz, nie oglądając się na nic, ale sam czujesz, że to jeszcze nie wszystko, że wciąż Ci czegoś brakuje. W 1987 roku będzie Ci się nieźle wiodło, otrzymasz kilka interesujących propozycji, spotkasz interesujących ludzi, poprawisz też swoje finanse. Ale nie zasniesz tego, co ludzie nazywają szczęściem, zwłaszcza w miłości i życiu rodzinnym. Wprawdzie oczekuj w tym roku bardzo mocnego przeżycia, którego bohaterem będzie osoba płci przeciwnej. Coś takiego nadejdzie ale Ty prawdopodobnie z właściwą Ci pewnością siebie, potraktujesz to jak seksualną przygodę, niszcząc cienie i subtelne nić uczucia. Został uprzedzony, ostrzeżony — i teraz zależy od Ciebie, jak potraktujesz tę, naprawdę niezwykłą sprawę. Zazwyczaj ludzie spod znaku Barana mają niezłe zdrowie, tak to przynajmniej wygląda na zewnątrz. Ale często są to tylko pozory, bo pod energią i rubasznym śmiechem, kryją się niekiedy poważne schorzenia serca, tętnic, krwi i mięśni. Uważaj na siebie, nie pij alkoholu, stróż nad nocnych biesiad, które tak lubisz, za to spaceruj po powietrzu. Najkorzystniejszym okresem będzie dla Ciebie marzec, kwiecień i maj, a najlepszym dniem wtorek. Na koniec jeszcze przestrzoga — przed fałszywymi przyjaciółmi, których masz przy sobie dość blisko.



21 IV — 20 V

Cierpliwość, łagodność, spokój, przy tym stanowczość i dobre współzycie z ludźmi, to główne przymioty osób urodzonych pod znakiem BYKA, a zarazem pod wpływami planety WENUS. To właśnie Wenus, personifikowana jako bogini miłości Afrodyta, nauczyła swoich podopiecznych umiejętności bycia wśród ludzi, zawierania oraz utrzymywania przyjaźni i wszelkich innych kontaktów. Ludzie spod znaku BYKA wspaniale dają sobie radę na kierowniczych stanowiskach, są też świetnymi nauczycielami, dobrze wychowują własne potomstwo i interesująco wpływają na współmałżonków. Są uwielbiani i pożądanymi przez osoby płci przeciwnej, toteż sporo miejsca w ich życiu zajmują miłość i seks oraz wszelkie sprawy damsko-męskie. Ten pozytywny obraz zakłóca wrodzony upór „Byków” oraz ich materializm, dochodzący w okresie starości do skąpstwa. „Byk” potrafi też być złośliwy, nawet okrutny dla tych, których nienawidzi i którym chce się odwdziżyć, ale przy tym traktuje tak tylko tych, którym nie podlega... Rok 1987 będzie dla Ciebie, „Byku”, dość trudny, ze względu na niebotyczne plany, jakie sobie postawiłeś, nie bacząc na zdrowie. Nawet zajęć i związanych z tym stresy, skumulują się w połowie roku, a wtedy uważaj, bo może nastąpić coś poważnego. W niebezpieczeństwie masz organa, znajdujące się w obrębie klatki piersiowej, a więc serce, płuca, oskrzela i cały „aparat” do oddychania. Szczęście, że Twój wrodzony brak umiaru, który daje się zauważyć we wszystkim co robisz, hamuje nieco Twój żywioł — ZIEMIA. Dzięki temu wielu „Byków” wytrzymuje napór spraw i problemów, które oni sami, z wrodzoną im energią, na siebie nakładają. Potrzebne Ci będą w tym roku chwile ciszy dla oceny perspektyw. Najlepszy miesiąc będzie listopad, najszybszy dzień piątek.



21.V. — 21.VI

Znakowi BLIŹNIAT towarzyszą plany a MERKURY i żywioł POWIETRZA. Ta trójka mecenas w obdarowała Cię bogato: ma z w sobie ciekawość ludzi i zdarzeń, obiektywizm, pragnie do wszelkiego nowatorstwa, cechuje Cię wszechstronność zainteresowań, komunikatywność i pracowitość. Równocześnie można Ci wiele zarzucić, np. upór w złym tego słowa znaczeniu, zabobność, konserwatyzm i materializm. Łatwo wpadasz w gniew, choć tego nie okazujesz. Wiesz, jaki jesteś, ale nie wiesz, co Cię czeka w nadchodzącym roku 1987. Otóż przygotuj się na najgorsze i na najlepsze. Doznasz smutku i radości, pói na pół. Nie lubisz ryzyka i trudno Ci do tego namawiać, ale gdybyś zaryzykował w pewnej ważnej dla ciebie sprawie, być może ominęłyby Cię owe zmartwienia i smutki. Sam się domyśl, co to za sprawa. Jak wszyscy spod znaku Bliźnięt, ty także jesteś ambitny i swoim ambicjom podporządkowujesz całe życie. Toteż boleśniej, niż inni ludzie, odczuwasz niepowodzenia, uznając, iż na nie nie zasłużyłeś. Czego Ci brakuje? Prawdopodobnie odbiły fantazji w życiu, które wiesz, że dość skromnie i jednostajnie, krocząc zazwyczaj jedną, wytyczoną drogą. Nauczyłeś się, że jedyną ważną wartość i jedyną radość, które się liczą, to zdarzenia wyłącznie związane z tą drogą i Twymi planami. Tymczasem w tym roku doznasz radości nieprzewidzianej, radości—niespodzianki. Może to będzie nie urodzenie się dziecka, wygrana w loterii, albo nagle romantyczna miłość? Podobnie jak „Baranom”, tak i „Bliźniętom” należy w 1987 roku zwrócić uwagę na fałszywe przyjaźnie. Mało tego: wiedz, że ktoś krąży coś przeciwko Tobie. Zdrowie nie powinno nasręczyć Ci problemów. Pod koniec roku Twoja pracowitość zostanie właściwie oceniona i nagrodzona. Najlepszym miesiącem na załatwianie ważnych spraw będzie listopad, najszybszym dniem środa.

Posławy

Nie jest łatwo wybijać się w jakimkolwiek zawodzie. O przekroczeniu granicy przeciętności decydują pracowitość, talent, suma sprzyjających okoliczności nazywanych lutem szczęścia. Ryszard Kapuściński, początkujący reporter, pojechał do Nowej Huty i napisał, jako setny autor, dwustudniowy reportaż z czerwonych kłaków. Za swój debiutancki tekst otrzymał Złoty Krzyż Za Sługi. Krzyż nie przeszkodził mu dostać się z „Cesarzem” na listę amerykańskich bestsellerów. Właśnie Kapuściński utalentowany, pracowity, skromny, pod kreśla funkcję lutu szczęścia w wybija niu się ponad przeciętność. Utalentowa nych i pracowitych jest w kraju, licząc na tysiąc mieszkańców, tyle samo co w Albanii, Rumunii, Republice Cza d, ale...

Jest w Zielonej Górze Oddział Związu Literatów Polskich. W swoim skła dzie posiada on trzynastu członków, któ rzy napisali co najmniej 26 książek wy danych przez normalne państwowe wy dawnictwa, gwarantujące profesjonalny poziom publikacji. Odrzucając pokusę przepowiadania, które z tych dzieł wej dzie do skarbca literatury polskiej, euro pejskiej, światowej, (co do jednego au tora, że perspektywa zostanie noblistą podejrzanie mam), stwierdzam, że skoro książki zostały wydrukowane, sprzeda ne, przeczytane to znaczy, że wszystko jest w porządku. Z mojej strony serdecz ności z powodu Jubileuszu 25-lecia!

W Zielonej Górze Oddział Związku Literatów Polskich, oprócz skutecznego za chęcania członków do pisania i wydawa nia książek, tworzenia materialnych wa runków sprawowania zawodu, chciały jeszcze należeć do grona lubuskich świe tłych, dwigających fortepiany na plecach, co z braku słuchu, nędznej kondycji nie wychodzi. Mają wprawdzie jednego o siłka, zupełnie jednak pozbawionego słuchu, i tak jest grubą przesadą pozwa lanie mu na noszenie instrumentów per kusyjnych. Oddziałowi wychodzi to, o czym mówi niechętnie, miłośnik speł nianie funkcji towarzyskiej, lagodzącej stosunki międzyludzkie, coraz bardziej wilcze. Po wtore, Oddziałowi wychodzi spełnianie funkcji specjalnych, spolegli wość, nie sprawianie kłopotów wła dzom. To również się liczy.

W tych okolicznościach, gdy zwy czajem jest uroczyste obchodzenie pię ciolecia funkcjonowania sklepu z pa manterią w Opypach Radosnych, s' om ność obchodów 25-lecia tego stowarzy szenia wyższej użyteczności, wydała mi się jakby podejrzana. Nowy trend w po

BIESIADNICY I BIESIADY

lityce, ki diabeł? Prawda, prezes Zukro wski przysiał na państwową firmówce słowa błogosławieństwa bożego. Musiał to zrobić, skoro nie mógł przyjechać. Komu nikacja Ameryka Łacińska — Zielona Gó ra jest cokolwiek kłopotliwa. Wojewoda wygłosił ciepłe słowa. Rozdał nieco „por celany”. Wzruszyło to poetę Warsza wskiego — bardzo przyzwyczajony do zgo go. Jednak, powiedzmy to szczerze, poe ta Warszawski wzruszył się, bo jest mło dy i nie ma rutyny w obchodzeniu. Na łomias, żeby biesiada w Bibliotece Wo jewódzkiej odbyła się bez słon nych paluszków, herbaty „Ulun” i pół miska sezonowych owoców, w świetle moich doświadczeń bankietowego roz pustnika, jest zdarzeniem, które trudno pojąć. Przy tym jest to nadużycie, Pa nowiel Skoro używa się słowa biesiada, to niech ono ma pokrycie w faktach. Co też za biesiada o suchym pysku? Toż to zwyczajna pogadanka. I żadna polity ka!

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, jak sama nazwa mówi, groź nieprofesjonalne, bez żadnej okrągłej o karzki, zorganizowało sobie w Gorzowie seminarium literatury i krytyki na te mat robotniczego nurtu w literaturze polskiej. Ludzie chcieli się spotkać i po gadać. Jest to potrzeba naturalna. Ale już sam program seminarium był wielce obiecujący: obiady, kolacje, śniadania, zwiedzania. I o to też idzie. W Zielonej Górze jubileuszowa biesiada o suchym pysku. W Gorzowie sesja z porządnym żarciem: szyć żyraf w sosie neapolitań skim, bażant a la Radziwiłł.

I ja to rozumiem. Michał Horowicz, któremu znane o o biście są salony ONZ, bywał bankietowy najbardziej doświadczony w na szej okolicy, zauważył, że standard ban kietów nad East River jest proporcjo nalny do rangi, potęgi państwa. Amba sador USA serwuje skromny kieliszek jęczmiennej wódki, plus słone paluszki, radziecki — kielich moskowskiej i bor żomi. Natomiast ambasador Białoruskiej Socjalistycznej Republiki częstuje chru płąciami proszczkami, pięcioma odmia nami grzybków, pierożków, nie wspo minając wspaniałego pica. O polskich przyjęciach Horowicz wyraża się źle. Człowiek wychodzi z nich głodny jak pies. Pełdzi do najbliższego automatu z hotdogami. M.H. twierdzi, że standard ban kietów świadczy o potęgze państw. W świetle tego kryterium Polska jest mo carstwem światowym.

A co mamy sądzić my?

RYSZARD ROWIŃSKI

Okolicca WZCZAJ

Znajomi zaczepiają mnie na ulicy i pytają, czy czytałem informację PAP-u zamieszczoną między innymi w „Maga zynie Lubuskiej” z 22 listopada. Towar zystwo Nieprzyjaciół Alkoholu z Kra kowa podało do sądu popularnych Ska utów Piwnych — powód: reklama alko holu w wakacyjnych programach te lewizji.

I znów życie przeskokczyło kabaret. Zaczne od tego, że powstaje dzięki tej sprawie niebezpieczny dla twórców i wszelkiej twórczości precedens. W la tach 70-tych takim tematem tabu była kolejka przed sklepem. Literat wychodził na ulicę w celu zacierpienia od ro biny realizmu i pierwszą rzeczą, jaka wpadała mu w oko, była kolejka, począ t kowo po mleko, później po inne towary. W tym momencie chwycił go skurcz au toczekury, przecież wieczorna godzina dobrobytu głosiła pochł 'ię spustu surow ki i powszechnego szczęścia. Po rozpra wie Skautów Piwnych, nasi pisarze za czną już ostrożnie transponować rze czystość. Oto zdanie przyszłości: „Po wypiciu litra musu jabłkowego Kargul zabił Pawlaka”.

Ala Pawłak. Odbieram to jako typowe zamydlenie problemu — odwracanie kota ogonem. Był czas, gdy o piwie mówilo się sporo i na serio. Odby wały liczne narady na szczeblu ministe rialnym. Zapadły słuszne decyzje, nieste ty, decyzje w większości pozostały na papierze. Temat piwa znów stał się wsty dliwy. Skarżył mi się niedawno kolega ze stołecznej gazety, że gdy próbował zamieścić w swoim piśmie więcej niż jeden tekst na temat warunków spoży wania piwa w stołecznej i jego dostępno ści, został wezwany przez kierownika działu na trudną rozmowę. Im mniejsze spożycie piwa w naszym kraju, tym te mat ten staje się bardziej podejrzany. Budki z piwem przeszły na stałe do na szej frazeologii i są synonimem zła — ale gdzie jest w tym kraju choć jedna bu dka z piwem. Pozamykano piwiarnie de wastując cenne urządzenia (przykład: bar na ulicy Podgórznej w Zielonej Górze), te nieliczne, które pozostały, siła rzeczy zamięliły się w mordernie. W Zielonej Górze jest jedna piwiarnia na sto tysięcy mieszkańców, nawet jeśli wy łączymy z rachunku dzieci i młuchów bud dyjskich, to i tak średnia jest niezła. Tak

PIWNI LECZ NIE - WINNI

jest w całym kraju, a bywa jeszcze gorzej. Jest to wynik działań ortodoksów abstynencji, którzy w stylu amerykań skiego policjanta z okresu prohibicji cie szą oko ilością zamkniętych piwiarni. Ef ekty są zastraszające: rośnie ilość wypi tej wody a maleje spożycie piwa. We wszystkich cywilizowanych i wysoko rozwiniętych krajach proporcje są od wrotne. Niestety, widocznie nie każ dego oświeca rzeczywistość. Ale faktów nie da się zakłamać nawet przez zam knięcie Skautów Piwnych o mleku i wo dzie w piwnicach mleczarni.

W wielu krajach piwo nie jest nawet uważane za alkohol, a poza tym jest zdrowsze od naszego mleka, posiada wie le odżywczych składników, a także wła ściwości relaksujące, trudno jest się nim upić i w zasadzie nie budzi agresji jak inne trunki. Jego spożywanie w ciekaw ym towarzystwie i przyjemnym oto czeniu sprzyja filozoficznej refleksji i inteligentnej wymianie zdań.

Rozważmy teraz taką sytuację: w Zie lonej Górze zamiast jednej piwiarni jest ich dwadzieścia. Co się dzieje? Tak zwa ne „punkty malej gastronomii” albo rze czwiście zaczynają kusić klientów sma kowitami daniami albo plajtują, bo ich główne źródło utrzymania zaczęło trys kać we właściwym miejscu, to jest w pi wiarniach. Restauracje i kawiarnie pu stoszeją, ich kelnerzy w drzwiach wita ją każdego klienta oferując menu grubsze niż „Wojna i pokój”. Każda gru pa zawodowa ma swoją ulubioną piwar nię: w jednej siedzi inteligencja tech niczna z humanistyczną, w drugiej tran sportowcy, w trzeciej złodzieje i bandy ci (jakie ułatwienie dla milicji!) itd. Ka żdy właściciel piwiarni stara się o to, żeby u niego było najlepiej: jeden usta wia automaty do gry, drugi stół bilar dowy, trzeci wyświetla filmy. Maleje spożycie wody. Do kiesy państwowej trafia rocznie około 30 milionów z tytu lu podatków od piwoszy (kwotę znacz nie zaniżyłem). Wzrasta zadowolenie i wydobyte. I ten cały raj można zało żyć za pieniądze przywaciarzy przy pomocy kilku sensownych decyzji.

Ala ja to wszystko między bajki wło żę. Poczekamy na wynik rozprawy Ska utów Piwnych, nie-winnych.

PIOTR PIOTROWSKI

KONKURS NA DŁUGIE WIECZORY

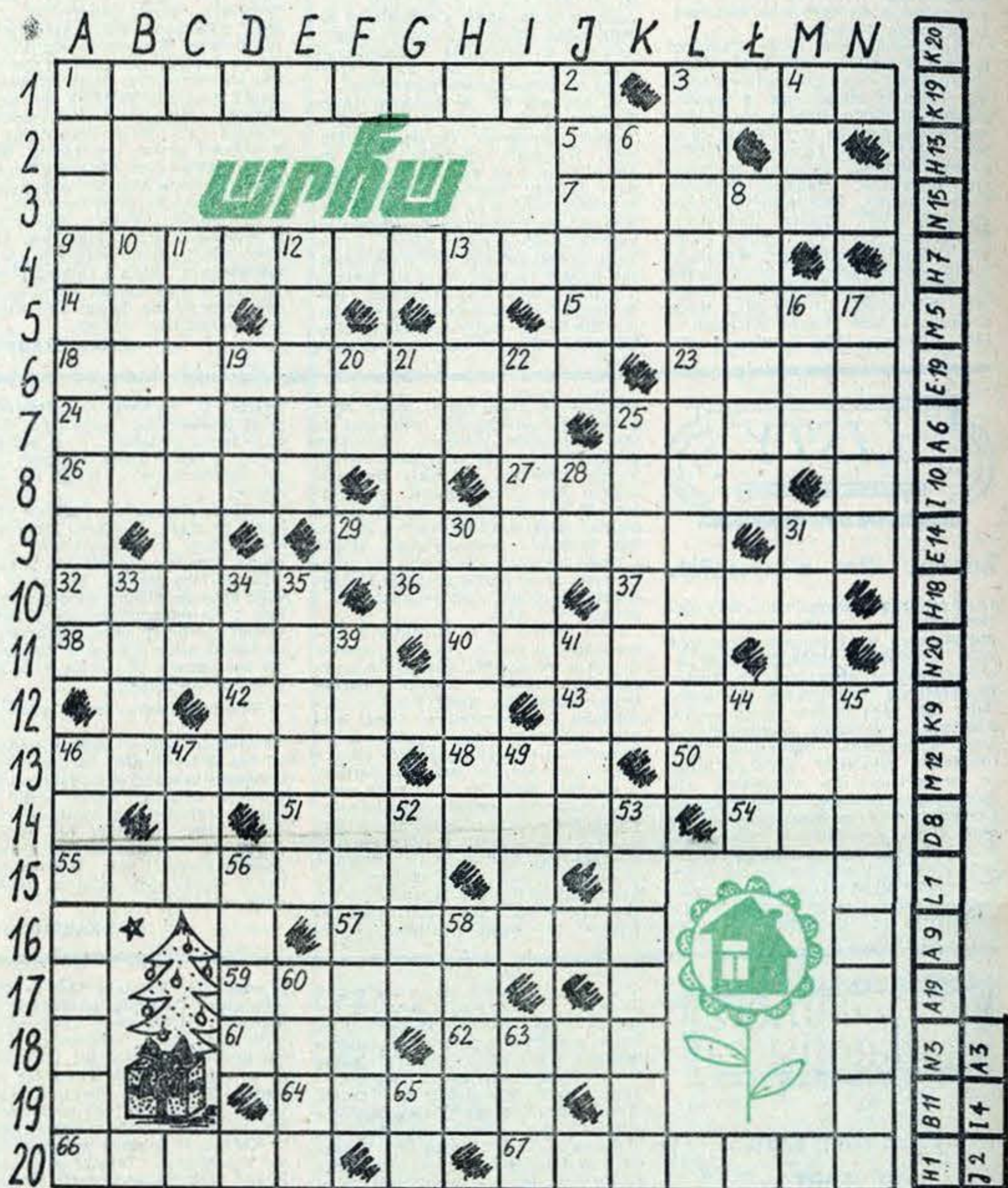
WSPÓŁORGANIZATORZY: LOT, WPHW, ORBIS, LKUP, I „NADODRZE”

Dzisiaj drugi odcinek konkursu. Do wygrania są je szcze min. radiomagnetofon „Kasprzak”, kalkula tor notesowy, radio „Monika”, młynek do kawy, spiwor, żelazko elektryczne, zegarki, torby turystyczne.

Przypominamy, że konkurs składa się z dwóch etapów. Pierwszy polega na rozwiązywaniu krzyżówki i odgadnięciu hasła (do wylosowania będą nagrody ufundowane przez WPHW; w następnym numerze przez ORBIS). W drugim zaś etapie proponujemy odpowiedź na pytania w poniż szym kuponie oraz nadesłanie — po zakończeniu całego konkursu — kompletu odpowiedzi z nr 24, 25 i 26 „Nad-

odrza”. Dla cierpliwych ufundowaliśmy atrakcyjne na grody. Szczegóły — obok kuponu z pytaniami. Powodze nia!

W tym numerze nagrody funduje Wojewódzkie Przed siębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Zielonej Górze. Są to: radio „Monika”, żelazko elektryczne, wazon wietnam ski, młynek do kawy i lniany obrus. Aby wziąć udział w losowaniu należy ułożyć hasło według podanego szyfru i przesłać je na adres naszej redakcji do 30 grudnia br. wraz z zamieszczonym poniżej „Kuponem nr 2”. Wyniki podamy w numerze 1 z 11 stycznia 87 r.



KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Poziomo: 1. Po jednej stronie ludy. 3. Wydzielony z więk szego pomieszczenia. 5. Prezent, ofiara. 7. Np. włoski. 9. Placówka astronomiczna. 14. Pożomy chodnik w kopalni. 15. Soplowały osad mineralny w jaskini. 18. Hodowla pszczoł w barciach. 23. Rzeka w CSRS, dopływ Dunaju. 24. Miasto na Białorusi, znane niegdyś z hodowli i tresury niedźwiedzi. 25. Niedźwiadek australijski. 26. Samica je lenia. 27. Np. gimnastyka. 29. Jeden z rzemieślników. 31. Ubóstwione słonce w mitologii egipskiej. 32. Mały nie toperz, pospolity w Polsce. 36. Grecka bogini nieszczęścia. 37. Krazek kielbas. 38. Filmowy lub tenowy. 40. Cesarz rzymski, syn Wespazjana. 42. Włókno poliestrowe. 43. Kar miony mlekiem matki. 46. Bohater „Placówki” B. Prusa. 48. Koreańska złotówka. 50. Okazała u lisa. 51. Miasto i prowincja w środkowym Iranie. 54. Płaz. 55. Wyborca. 57. Indyjski port nad Zat. Bengalską. 59. Odra. 61. Np. sy jamski. 62. Urok. 64. Dobra do czyszczenia okularów. 66. W dawnej Polsce pouczenie prawne udzielone sądowi mniejszego miasta przez sąd miasta większego. 67. Pra cowie w obozie.

Pionowo: 1. W wielu sklepach. 2. Niemiecki filozof i so cjolog (1903—69), zajmował się etnocentryzmem. 3. Przed-

WYTNIJ! ZACHOWAJ!

1. W którym roku powstały Wojewódzkie Przedsię biorstwa Handlu Wewnętrznego — w 1973, 1976 czy w 1980?

Odp.

2. Proszę podać ile metrów kwadratowych powierzch ni użytkowej sklepów WPHW w województwie zielonogórskim przypada na 1.000 mieszkańców — 30 m², 120 m² czy 216 m²?

Odp.

3. WPHW prowadzi trzy rodzaje działalności. Proszę wymienić przynajmniej dwie z nich.

Odp.

(imię i nazwisko)

(dokładny adres)

stawiciel gromady obiećców, z nablonkiem rżęskowym na stronie brzusznej. 4. Nie dokuca abstynentom. 6 W operze. 8. Podlega emirowi. 10. Wrota. 11. W książce. 12. Stanowisko, godność. 13. Francuski reżyser i aktor fil mowy („Mój wujaszek”, „Play Time”). 16. Zwierzchnik Boreasa i Zefira. 17. Część osprzętu jachtu i łodzi wios łowej. 19. Uniwersalny rozpuszczalnik tłuszczów. 20. Ka planka Hery lub satelita Jowisza. 21. Szlachetność, zac ność. 22. Bracia, teolodzy i reformatorzy anglikańscy, twórcy ruchu metodystów. 25. Tułów. 28. Dziecięce „do widzenia”. 30. Stolica Kanady. 31. Zasłona okienna. 33. Wezwanie, odczeka. 34. Pustelnia. 35. Turkus. 39. W tak sówce. 41. Milion gramów. 44. Surowiec na koszyki. 45. Typ melodii lirycznej, śpiewanej. 46. Postępowanie przy gotowawcze w sprawie karnej. 47. Miasto na środkowym Honsiu do 1955 r. Ujivamada. 49. Ptak łączący cechy kaczek i gęsi. 52. Rzadko dziś noszony ubiór męski. 53. Usposobienie. 56. Część szyi. 58. Nad strychem. 60. Zjad liwy i niesprawiedliwy krytyk. 63. Koński tył. 65. Pań stwo w starożytnych Chinach.

Oprac.: WIESŁAW PYŻEWICZ

Czytelników, którzy chcieliby wylosować jedną z na gród ufundowanych przez naszą redakcję prosimy o wy pełnienie zamieszczonego obok kuponu. Jednakże szanę na nagrodę mają tylko ci z Państwa, którzy zachowali kupon z poprzedniego numeru i wypełnią kupon w przy szłym numerze. Na komplety odpowiedzi, (wyłącznie na oryginalnych wycinkach) czekamy do 14 stycznia 1987 r. Do wylosowania będą: radiomagnetofon „Kasprzak”, kal kulator notesowy, trzy zegarki, dwie „Encyklopedie se niora” i nagroda — niespodzianka.

